Nr. 48. Warszawa, dnia 18 (30) Listopada 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przyjaciołom **Prawdy** *przypominamy zbliżający się rok nowy i ponawiamy prośbę o wczesne nadsyłanie przedpłaty.*

POLITYKA.

TURCICA.

W Armenii spadł śnieg: stąd zaraz wniosek, że ustaną i krwawe rozruchy. Rzeczywiście, nastała przerwa w płomiennych walkach i rzeziach — ale tylko przerwa. Sprowadziło ją znużenie, wyczerpanie się tych sił, które już się ścierały; zrobiła coś uspokajająca polityka Szakira, prowadzona słowem i orężem, zrobiła swoje i zima, osłabiając temperament krwi w ludziach. Na tem omdleniu namiętności niepodobna przecież budować nadziei uspokojenia. Już sami kurdowie ją burzą. Teraz właśnie, mimo śniegu i mrozu, zbijają się oni w zbrojne kupy i zabierają do walki z regularnem wojskiem tureckiem. Tylko zaklęcie religijne mogłoby ich powstrzymać, gdyby padyszach miał pierś do zaklęcia takiego dość silną. Przy postawie zajętej przez kurdów, i armeńczycy też w spokoju nie wytrwają.

Przed wprowadzeniem reform, potrzeba uciszyć ludzi, a zanim się nada reformy, potrzeba ich szczerze chcieć. Tej szczerej woli właśnie dziś niema i nie będzie. Sułtan dzisiejszy wydobyć jej z siebie nie zdoła: nic nie znaczą *irade*, nic uroczyste obietnice dyplomatyczne i uroczystsze jeszcze, bo już osobę samą krępujące, słowo honoru, dane Salisbury'emu. Wola, gdyby nawet znalazła się w intencyi, będzie bezsilną w działaniu. Dzisiejszy rząd sułtański nie znajdzie u siebie narzędzi do roboty. Co jeden urzędnik naprawi, to drugi zepsuje. Zagnieżdżony system oprze się— i nie pozwoli Gdyby nawet jaka wróżka, zesłana przez Mahometa, wywołała czarodziejstwo reform w dotykalnej już rzeczywistości — czy zadowoliłoby ono armeńczyków a ugłaskało kurdów? Pierwsi zażądaliby czegoś więcej; drudzy zawrzeliby większą jeszcze nienawiścią plemienną i religijną.

W obecnych warunkach mądrość turecka ma przed sobą zadanie kwadratury koła. Gdyby Turcya, a z nią i, w potrzebie, za nią, opiekunka jej tradycyjna, Anglia — pamiętała była o elementarnym obowiązku uporządkowania Azyi Mniejszej, jako rdzennego dziedzictwa Osmanów, dzisiejsze wypadki nie byłyby możliwemi. Porządek państwowy przyniósłby względne zadowolenie armeńczykom, odczuwającym się w swej odrębności narodowej, i zarazem nałożył pęta na dzikość kurdów: nie byłoby powstań i rzezi. Gdyby sułtanowie stali rzeczywiście na straży politycznego bytu Turcyi, na Azyę Mniejszą byliby zwrócili uwagę jeżeli już nie od pokoju w Bukareszcie (1812), to przynajmniej od adryanopolskiego. Od r. 1830 wypędzenie turków z Europy stawało się hasłem coraz głośniej i powszechniej powtarzanem. Wydał je traktat w S. Stefano, a traktat berliński nawet, stłumić je usiłując, rzeczywiste niebezpieczeństwo jego uznawał.

W Azyi Mniejszej, w Mezopotamii, turcy mogą być u siebie; w Europie są intruzami. Władza ich w Azyi, władza silna, porządna, jest nawet dla Europy niezbędną; bez niej mocarstwa europejskie narażone będą na ciągłe starcia między sobą. Pytanie: kto ma zabrać Anatolię? — dla spokoju europejskiego nie będzie mniej niebezpiecznem od tego: kto ma zawładnąć Konstantynopolem? Gra równowagi, tj. wzajemnego krzyżowania sobie planów i neutralizowania sił — do czasu tylko da się prowadzić. Przyjdzie chwila, że mądrość dyplomatyczna złoży berło. Tylko fakt istnienia silnej, dobrze rządzonej Turcyi, przynajmniej azyatyckiej, może złagodzić całą grozę starcia o Turcyę europejską, wydzierania sobie łupu po niej. Lecz na to wszystko dzisiejszy sułtan jest ślepym— i bezwładnym. Do nowego życia nowych też żywiołów potrzeba.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Demonstracya flot, zaproponowana przez Gołuchowskiego, jest wciąż jeszcze marzeniem dyplomatycznej. Telegramy z Konstantynopola przypominają pisanie na wodzie. Co jeden doniesie, to drugi odwoła. Baron Calice, jako senior ciała dyplomatycznego, a zarazem przedstawiciel państwa, które pochwyciło inicyatywę, objawia najwięcej energii; popiera go widocznie p. Currie, który już na Paryż i Wiedeń wrócił do stolicy Turcyi; za nimi dwoma idzie zaraz ambasador włoski; pozostali nie bardzo się kwapią z naciskiem na Turcyę. Powtarza się w pewnej mierze ugrupowanie mocarstw europejskich podczas wojny i po wojnie chińsko-japońskiej. Demonstracya ma być dokonana za zgodą samej Turcyi: sułtan wyda ferman, aby przepuszczono okręty przez Dardanelle. Rozmiary czynu zbiorowego bardzo będą skromne: po jednym statku dla użytku ambasadorów, którzy, w razie przepuszczenia okrętów, będą mieli po dwa u Złotego Rogu.

Włochy okrętom, wysłanym do Lewantu, kazały trzymać się eskadry angielskiej, stojącej w Besika. Do Pireusu zawinęły już cztery okręty austryackie. Trzy wysłała Francya, ale te niedaleko od Tulonu uwięzły; prowadził je admirał Gervais; wyzwolone, nie popłynęły dalej; lecz te, czy owe zawsze się znajdą. Niemcy tylko nie zrobiły dotychczas nic dla wzmocnienia swych sił: na wodach tureckich mają jednego tylko „Moltkego.“ W Anatolii trochę się uciszyło; kurdowie wszakże się zbroją. W Stambule „młoda Turcya“ wydała rewolucyjną odezwę. Uwięziono mnóstwo i turków i armeńczyków. Sułtan dba więcej o swą władzę, niż o porządki w Armenii. Jeżeli je wprowadzi, stają się one tylko nową formą dawnego nieładu.

Komitet anglo-armeński rozbiera już Turcyę: Konstantynopol oddaje sześciu mocarstwom i Szwajcaryi pod zarząd, półwysep Bałkański—ludom chrześciańskim, które go zamieszkują, Anatolię do Kizil Irmaku (star. Halys) — Austro-Węgrom, dalszą — Rosyi; Francya zabrałaby Syryę i Mezopotamię; Anglia — Egipt i Arabię. Grecyi dostałaby się, prócz schedy na kontynencie europejskim, Smyrna na pobrzeżu azyatyckiem, Cypr, Kreta i Sporady południowe. Z Cylicyi utworzonoby państwo ormiańskie. Austrya chyba nie przyjęłaby daru tak wspaniałego; inne połcie wykrojone są rozsądnie, tylko owa Cylicya armeńska wygląda jak dziwoląg. Europa ma najpilniejszy interes w tem, aby do rozbioru nie przyszło, ale nie zawsze w polityce zwycięża interes, chociaż jej rozum żywi się tylko interesami.

We Francyi za kilka dni gabinet p. Bourgeois będzie miał już miesiąc istnienia. Wobec wróżb i drwin oportunistów — i to coś znaczy. Radykalizm oczyszcza administracyę: kilkunastu prefektów i 50 podprefektów ma dostać dymisyę.

Sprawiedliwość rozpoczęła na nowo śledzenie łotrowstw niby już potępionych lub za *res judicata* przez opinię oportunistyczną uznanych. Artona jeszcze sędzia przy Bow-Street w Londynie nie wydał; może interesowani wynajdą jaki kruczek do ostatecznej odmowy. Papiery zabrano. Czy się w nich znajdzie owa książeczka czekowa ze 104 nazwiskami? — nie wiadomo.

Admirał Gervais prawdopodobnie opuści słubę czynną. Przygoda z okrętami uwięzłymi nie zachęca go do pozostania nadal.

Projekt prawa, wzbraniającego deputowanym zaszczytnej godności wielkich finansistów w praktyce, wkrótce będzie uchwalony ostatecznie.

We Włoszech zebrał się sejm. Sprawa Giolittego już zaczęła palić się w głowach.

Anglia od 1-go b. m. ma nowego *generalissimusa*: Wolseleya. Księcia Cambridge wiek zniedołężnił.

Na Kubie powstańcom powodzi się prawie ciągle. Hiszpanie na nowy rok będą mieli 150,000 wojska— wysłanego dotychczas, wraz z dawnymi już garnizonami.

BADANIA NAUKOWE.

TRADYCYA ZORGANIZOWANA.

I.

Rozpatrywaliśmy niegdyś w łamach *Prawdy* jaźń zbiorową, tj. gromadę osób, objętą pewnem jednolitem uczuciem — taką, której pojedynczy uczestnik utracił swoją samodzielność, bo stał się cząstką tej istoty zbiorowej. Analiza ówczesna dotyczyła tylko prostej takiej jaźni gromadnej.

W każdej chwili istnieją w społeczeństwie liczne rozczyny idej, pożądań i emocyj, niekiedy tak słabe, że nawet nie podejrzewamy ich istnienia. Stanowią one podwalinę dla powstania jaźni zbiorowej. Skutkiem pewnej podniety, z takiego rozczynu powstaje istota zbiorowa, odznaczająca się mocną wyrazistością zarysów duchowych. Osadza się jakby kryształ utajonych stanów wewnętrznych, tj. tworzy się gromada. Żywot jej bywa krótki: dokonawszy swego zadania, rozpada się na pojedyncze osoby, namiętność zaś znika — pozornie bez śladu. Jest ona jako bałwan, który spiętrzył się na powierzchni wód, wzdęty przez podmuch wiatru, ale niebawem opada i zlewa się ze swoją macierzą. Rozważaliśmy właśnie taką jaźń zbiorową. Ale nie zawsze tak bywa. Niekiedy bowiem ów *être spinale et gangrinaire*, raz jeden powstawszy z łona społecznego, powtarza się w pewnych odstępach czasu, żywiołowo odradzając się według podanego wzoru, to znowu bywa wywoływany umyślnie i nawet ćwiczony w sposób systematyczny. To jaźń zbiorowa już nie prosta, ale organizowana.

Postacie jej są bardzo różnorodne. Wszelka próba ujęcia w schematy klasyfikacyjne byłaby pracą daremną, bo brak tam zasady, na której można byłoby oprzeć rozróżnianie rodzajów, to też uczynimy najlepiej, rozpatrując w przykładach parę wypadków konkretnych.

Posiadamy bardzo szczupłe dane o psychice męczenników, którzy podczas prześladowań dali ofiarę ze swego życia za ideę chrześciańską. Ale z tego, co wiemy, możemy wyrobić sobie pewne wyobrażenie o zachwycie gromadnym, który obejmował wiernych w chwilach takiego ciężkiego doświadczenia i czynił z rzeszy głów ludzkich jednolitą masę, zatopioną w modlitwie, pogrążoną w skupieniu ducha i gotową do poniesienia śmierci. Rzuceni do więzienia, przygotowywali się do przyjęcia wieńca męczeńskiego, zapominając o swojem osobistem „ja" w ekstazie zbiorowej. „Głosy męzkie, kobiece i dziecięce łączyły się w jeden zgodny chór — tak artysta odtwarza obraz oczekiwania.—Całe więzienie zaczęło śpiewać jak harfa. Lecz nie były to głosy żałości, ni rozpaczy. Owszem, brzmiała w nich radość i tryumf." I zachwyt taki nie opuszczał skazańców w obliczu śmierci. Byli oni atomami jaźni zbiorowej, która podniosła odporną siłę każdego z nich i zahartowała ofiary na ból i męczeństwo. Jesteśmy przekonani, że gdyby tam działano nie na tłumy, ale na jednostki, to męztwo i wytrwałość nie byłyby tak wielkie. Wreszcie stało się zadość swawoli władców Rzymu: męczennicy zginęli. Ale zgładzili oni ze świata jedynie ciało, bo duch ofiar żył dalej, jaźń zaś zbiorowa działała na następców. Z głęboką czcią zbierano poszarpane członki i krew rozlaną, z ust do ust podawano szczegóły o skonie męczenników, uczono się od nich, jak trzeba zachowywać się w więzieniu. Aureola świętości otaczała pamięć zamordowanych, tem podnioślejsza, im więcej czasu upłynęło. Podczas pierwszych prześladowań ludzie ginęli, bo nie chcieli być odstępcami od wiary, przy drugiem i dziesiątem przyłączyły się i entuzyazm i chęć wyrycia swego nazwiska w pamięci potomków. Przedewszystkiem zaś zachwyt ubiegły, który po omacku odkrył najodpowiedniejsze sposoby podniesienia ducha, dostarczał już gotowych wzorów dla zastępów późniejszych. Nowe ofiary, stanąwszy w cyrku, były nie samotne: w ich wyobraźni wychodziły postacie poprzedników, szeptały słowa zachęty, podawały przykład zachowywania się, radziły hartować się w chóralnym śpiewie. Słowem, miały one za sobą doświadczenie wieków, które

---

7)

LAURA MARHOLM.

KSIĘGA KOBIET.

„Sylfida" jest żoną burmistrza małego miasteczka, człowieka posiadającego przyzwoite dochody. Ojciec jej był artystą szwedzkim, który całe życie spędził na podróżach, ponieważ ciasnota stosunków ojczystych po każdym powrocie do kraju za granicę go znowu wypędzała. Na łożu śmiertelnem oddaje niewyposażone dziecko swoje w ręce młodszego przyjaciela, który dla najlepszego zabezpieczenia bytu dzieweczki, sam się z nią żeni. Jest wzorowym synem, kolegą, człowiekiem — na partykularzu. Sylfida błądzi po lasach, jest przedmiotem licznych plotek, wysnuwanych przez kobiece znakomitości miasteczka i rozmarza się cicho, nieświadomie, lecz przyjemnie.

Na wieczorku, podczas którego zapomina o obowiązkach gospodyni, obecni są sąsiad—baron i jego siostra. Ludzie już nie młodzi, wolni od złudzeń, swobodni w sposobie myślenia i w mowie, wnoszą z sobą powiew jakoby z większego świata, Sylfida zaś jest z tego powodu lekkomyślnie szczęśliwą i pozuje odtąd baronowi dzień w dzień do obrazu, który przedstawia Undinę w chwili, gdy rycerz unosi ją przez lasy i rozbudza w niej duszę, t. j. miłość. Czuje pociąg do tego mężczyzny, który dość posiada ognia, by pocałunkami rozbudzić w niej kobietę. Ona niczego nie żąda, nic nie myśli, nie chciałaby się tylko z nim rozłączać; wokoło niego znajduje się ta atmosfera, w jakiej jej dobrze. Jest jeszcze dzieckiem, lecz dziecko chciałoby się ocknąć. Doznaje, co prawda, trochę zgryzot sumienia wobec burmistrza, cała rzecz jednak tak jest przedstawioną, że zdaje się, jakoby Sylfida nie była zamężną, co zresztą jest wadą germańskiej literatury kobiecej:

Baron opowiada jej podanie o Undinie. Rycerz spostrzega ją w chwili kiedy fale wyciągają ku niej białe swoje ramiona, by ją znów do siebie przyciągnąć. On jednak nie puszcza jej. W objęcia bierze i unosi. A ona spogląda nań wzrokiem nawpół trwożliwym. Lecz jest już i coś innego w jej spojrzeniu. To już nie dawna Undina. Kocha. Ma duszę.

W dramacie tym Anna Szarlota Edgren, późniejsza szermierka emancypacyi kobiet, składa wyznanie: Dusza kobiety—to miłość. W dużym szeregu pisarek szwedzkich jest jedyną, która wyznanie to złożyła.

Lecz baron jest dekadentem. Typ ten pani Edgren uchwyciła z życia na wiele lat wcześniej, nim dekadentyzm stał się kształtem literackim. Z przyjemnością i ze wzruszeniem wewnętrznem przyjmował „sensacye" póty, póki w Sylfidzie, z pierwszym brzaskiem pół świadomości, nie otworzyła oczu—kobieta. Z tą chwilą staje mu się obojętniejszą. Gorączka opada. Działa on wprawdzie i nadal w tym samym, co dotychczas zakresie, widzi atoli jednocześnie odblask własnych myśli. Nie jest owym rycerzem, który, uniósłszy Undinę z zimnej wody, bierze w ciepłe swoje objęcie. Pozostawia ją na brzegu strumienia.

Zpośród zdarzeń, wytwarzających kobiety „samodzielne," o własnym „zawodzie życiowym," wypadek powyższy należy chyba do najbardziej typowych. Nadzwyczajnie trudno określić, co się dzieje w kobiecie, gdy dostrzega w mężczyźnie, który ją był zbudził, ów odcień letniości, oznakę cofania się; w niej budzi się wtedy coś w rodzaju wstrętu. I im delikatniejszą jest wrażliwość kobiety, im więcej jest ona dziewiczą, tem dłużej drgać w niej będzie owo uczucie wstrętu. Im mniej doświadczona, tem więcej ów rys wyda jej się niemęzkim; im doskonalej jest kobietą, tem silniej dozna rozczarowania—i to niotylko względem jednego. Cień jakiś, zimny ton padnie na wszystkich mężczyzn.

Cóż się dzieje dalej? Akt trzeci ujawnia bezradność kobiety i autorki. Z punktu widzenia poetyckiego rozwiązanie jest zimne, skreślone z niejaką nawet obojętnością; ze stanowiska narodowo-psychologicznego jest ono prawdziwie szwedzkie. W dyalogu, prowadzonym przez młodą

nakazywało w emocyi gromadnej szukać odporności na męki.

W przykładzie powyższym działa tylko tradycya. Istnieją może organizatorowie, są jednak nieliczni. Kompania pątników do miejsca świętego daje nam obraz, odznaczający się większym rozwojem stosunków. Przykład ten dorzuci zresztą parę rysów uzupełniających do powyżej przedstawionego obrazu.

Weźmy kompanię pątników.

Staroczesny obyczaj, wypracowany przez wiele pokoleń, oddziaływa tam od pierwszej chwili. Pobożni, którzy pozostawili go w spadku, spoczęli oddawna w ziemi, lecz dzieło ich ducha zbiorowego żyje, przyspiesza poród nowych organizmów gromadnych, według wskazówek ubiegłej empiryi przeciwdziała swawoli indywidualnej, stwarza cement pożycia zbiorowego i normy wzajemnego stosunku. Zmarły panuje nad żywym, rządzi uderzeniami jego serca, rodzi ekstazę jego nerwów. Nowy pątnik, od chwili, gdy stanął w szeregu, stąpa faktycznie w ordunku — z nieżyjącymi. Jaźń zbiorowa ma utorowany rozwój, jest przedłużeniem poprzedniczek i tem samem dochodzi do skutku rychlej, aniżeliby to uczyniła, gdyby kompania musiała po omacku sama nabywać doświadczenia.

Zwróćmy się teraz do jaźni zbiorowej, posiadającej jeszcze prawidłowszy żywot: do pułku.

Żołnierz w szeregu a żołnierz wzięty zosobna są poniekąd istotami odmiennemi. Pewien generał opowiada, że ilekroć wypadło mu egzaminować młodych szeregowców oddzielnie, zawsze bywał niezadowolony z ich mustry, oraz nie mógł nadziwić się nierozgarnięciu i niezgrabności. Otrzymywał zgoła inne wrażenie, gdy ci sami żołnierze maszerowali w szeregu: odznaczali się wtedy inteligencyą i żwawością, czego niepodobna było nawet przypuszczać na podstawie egzaminu, dokonywanego zosobna. Skutkiem systematycznych ćwiczeń pułk przedstawia jaźń zbiorową, tworzącą się, ile razy szeregowcy są w zastępie, pod wpływem stosownej podniety. Niema tak błahego szczegółu, którby nie oddziaływał na jej spójność i nie wiązał żołnierzy nicią wzruszenia emocyonalnego, nie utrwalał bytu istoty gromadnej. Wspólne ćwiczenia przyuczają szeregowców do pewności siebie, gdy są pospołu; wpływy te ustają, kiedy żołnierz będzie szedł sam; brak mu wtedy atmosfery zbiorowej, w której przyzwyczaił się czynić obroty i słuchać nakazu. Śpiewy chóralne podczas marszu, którym towarzyszy rażący odgłos bębnów i piszczałek, bądź co bądź także stwarza jednaką u wszystkich emocyę, która jest w gruncie rzeczy zakrojem na jaźń zbiorową. Pod wpływem takich ćwiczeń powstaje duch gromadny, który czeka tylko podniety, ażeby uwydatnić swoje istnienie. Cała armia Napoleona I przedstawiała taką jedność: była ona mężniejszą, szlachetniejszą i nawet uczciwszą, aniżeli przeciętnie okazałby się każdy szeregowiec. Wawrzyny, zdobyte przez tego niepospolitego strategika na polach bitew, narkotyk sławy i jeszcze bardziej odznaczeń, któremi tak hojnie szafował mały kapral, oraz wiele innych względów przyczyniły się tam do napięcia pewnych stanów ducha i stały się cementem moralnym: z tysięcy głów uczyniły jedną osobę! Pułki były tam imiennemi jaźniami, wyodrębnionemi od reszty, posiadającemi każdy własną tradycyę i własny punkt honoru. Pojedynczy żołnierz ginął bezimienny w gromadzie, żył jej życiem. Weterani opuszczali szeregi, legli od kuli, niewyćwiczeni nowobrańcy zastępowali ich miejsce, ale „honor" istniał i przeistaczał duszę rekruta. Stawał się on patryotą swojego pułku, w którym tradycya utrzymywała brawurę: ponieważ ich poprzednicy niegdyś, upojeni zgiełkiem wojny, rzucili o ziemię ładunki, zatknęli bagnety i taką białą bronią uderzyli na wroga, przeto nowe pokolenie także nie walczyło inaczej. Być np. czwartakiem znaczyło w każdej potyczce iść do szturmu na ostrze. Pułk ten, użyty nie tym trybem, działał opieszale i nawet ulegał tchórzostwu. Sztandar bywał świętością, szeregowcy prędzejby zginęli wszyscy, niż pozwoliliby go wydrzeć sobie. Honor zbiorowy wżerał się w krew i ciało żołnierza. Wodzowie z doświadczenia pojęli to znaczenie jaźni pułkowej, podtrzymywanej przez tradycyę i odradzającej się w potrzebie, skutkiem ciągłości kadrów organizacyjnych. Pułk nie jest zwykłą gromadą, złożoną z tylu a tylu szeregowców. Nie! Oni stanowią tylko widomą część jego, bo istnieją tam jeszcze niewidzialne oddziały — tych, którzy swoimi czynami stworzyli honor istoty zbiorowej. Żołnierz, z tradycyi idący na bagnety, stąpał nie sam jeden w ordynku bojowym. Każdemu towarzyszyły zastępy poprzedników; swoją obecnością potęgowały one siłę moralną, która zrodziła się w istniejącej gromadzie pod wpływem faktycznej podniety i powstałej skutkiem tego jaźni zbiorowej.

Wszędzie, w powyższych przykładach, spotykamy ten sam fakt znamienny. Mianowicie powstająca na tle tradycyi jaźń zbiorowa jest tylko przedłużeniem tych, które istniały niegdyś. Nietylko wzory dawne przyśpieszają poród nowej istoty zbiorowej odpowiedniego ducha, ale nadto dawne zastępy jakby łączą się w jedność z późniejszymi i stanowią niewidzialną, ale działającą część powstałej jaźni. Na najniższym szczeblu taka łączność bywa słabą, niekiedy może zaledwie dostrzeganą; na wyższych, np. w pułku, daje początek systematycznej organizacyi, mającej na celu ćwiczenie zbiorowości, która powstaje tam, przy pomocy kadrów. Jaźń gromadna przechodzi wtedy w instytucyę.

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

JULIUSZ LEMAITRE.

Opinia Juliusza Lemaitre'a należy do najbardziej ustalonych w świecie literackim. W sferach, uchodzących za pewnego rodzaju arystokracyę ducha, nazwisko jego stało się niemal pojęciem rodzajowem: Lemaitre — to czarujący *causeur* (nie śmiem powiedzieć: gawędziarz) niedzielnych *Débats*. To wyrafinowany sceptyk literacki, model doskonały krytyka w stylu nowożytnym. Ludzie, których już trochę znużyło powtarzanie zasady trzech momentów: rasy, środowiska i historyi, za Tainem, których nie zadowo-

---

damę z r. 1880, uderzają rzeczy dość silne, bardzo nawet drażliwe—usuwa się je jednak z przed oczu publiczności, bo w przedstawieniu dobre zakończenie sprawi, że wszystko będzie pomyślnie. I nagle w państwie pietyzmu i doraźnych nawróceń—wszyscy biją się w piersi i do grzechów się przyznają. Burmistrz zastanawia się nad sobą i żałuje, że tyle był egoistą, iż Sylfidę z sobą związał; matka jego żałuje, że syna więcej niż synową kochała; Sylfida żałuje, że maluczko, a byłaby się dała nakłonić do miłości; siostra barona, która przez cały ciąg sztuki wysoko niesie sztandar miłości i swobody, żałuje tak sobie, wogóle, bez bliższego uzasadnienia. I znowu wszystko do dawnego powraca stanu, Undina zaś pozostaje w kaczym stawie!

Z takiem, Bogu i ludziom miłem zakończeniem, „Sylfida" dożyła wielu przedstawień.

Czy takiem było pierwotne zakończenie sztuki? Może mniej było konwencyonalne, może tylko pani Edgren, chcąc widzieć utwór swój w druku i teatrze, takie musiała do niej przylepić zakończenie? I cóż miała czynić? Samotna kobieta — mogłaż ona powstać przeciwko ogólnie przyjętym prawidłom moralności? Przeciwko wszystkiemu raczej, tylko nie przeciwko moralności. Bo ta na zawsze by jej zamknęła usta. I jakaż pozostałaby natenczas możliwość wyjrzenia z ciasnoty na widnokręgi szersze? Zasadniczym tonem tej sztuki jest tęsknota, zbudzona wśród szwedzkiej zimy, wśród ciągłego mroku, gdakanie na zapiecku, tęsknota do swobodnego powiewu, światła i południowego ciepła.

V.

Ten sam problemat zgłębiła i wysubtelniła Edgren w dziesięć, mniej więcej, lat później, w noweli „Kobiecość i erotyka."

Widzimy tu już nie tradycyjną postać Sylfidy, lecz współczesną, młodą dziewczynę, nerwową, zgrabniutką, obdarzoną bystrym rozumem i ostrym języczkiem, krytykującą a pełną tajemnych pożądań, stworzenie nieśmiałe o serduszku nadzwyczaj ciepłem, dziewczątko, które tylko dzięki miłości mężczyzny rozkwitnąć może, a które światem całym byłoby dla mężczyzny, któregoby pokochało; i kocha — eleganckiego, ufność budzącego oficera, który, jako ochotnik, służył w Algierze i pisze dzieło o wiedzy wojennej — kocha prostego, powierzchownego „chłopca," który jest pewny, że przyjętym będzie, jeśli się oświadczy; więc czyni to mimochodem. Ona daje mu odkosza. On jest tem oburzony, postępek jej wytłomaczyć sobie potrafi tylko tem, że kogo innego kocha. Nie, innego nie kochał. Więc cóż za powód? Czuje, że nic sobie z niej nie robi. Taka jest niezmierna, jakościowa różnica między jej uczuciem dla niego, a raczej między uczuciem, któreby żywić mogła dla mężczyzny, a między tem, czem on ją zbywa, że nie chce go, że ta pewna niedbałość, brak szacunku, zarozumiałości, cechujące jego zachowanie, ubliża jej, jak obraza. On wyjeżdża i wkrótce powraca—ożeniony z małą jakąś gąską. Pani Edgren wyprowadza stąd rozwlekłą teoryę, która i tak z całości przebija: że przedmiotem zakochania mężczyzn są owe małe, zupełnie pospolite osiemnastoletnie dziewczęki — niewinność, przybrana w biały fartuszek. Ta teorya pani Edgren o zakochaniu przeciętnych tuzinkowców w przeciętnych, tuzinkowych pannach, wydaje mi się dość błahą. Natomiast nadzwyczaj prawdziwym, głębokim i oryginalnym jest ten tak często spotykany typ mądrej, czystej, współczesnej dziewczyny, o surowo tłumionej i słabo rozbudzonej zmysłowości, objawiającej się jedynie niemal jako nerwowość, o bystrej zdolności odgadywania życia uczuciowego u siebie i innych i o szorstkiej dumie, zrodzonej przez bezpośrednią świadomość o własnej wartości; o dumie, która nie przyjmuje mniej, niż sama daje. Te zaś dziewczęta skazane są w całym, długim czasie ich wiosny na ciasne stosunki kobiety, na dwie lub trzy możliwości, które im przypadek może nasuwa, a które dla nich możliwościami nawet nie są. Upłynie jeszcze lat kilka, a Temida, skrupulatnie ważąca na szalach miłości pojęcia „moje" i „twoje," gorycz ma wokoło ust i palącą, ukrytą ranę w duszy. Jeszcze lat kilka, a ze wzgardzonego instynktu kobiecego wychodzi—feministka.

Pani Edgren tą samą poszła drogą. Świadczące o tem ślady znajdujemy już w głównym jej utworze „Z życia," w no

liła „esto-psychologia“ Hennequin'a, schematy Morice'a i ewolucya rodzajów w literaturze Brunetière'a, których wreszcie na chwilę tylko porwał entuzyastyczny umysł Guyau, apostoła życia w sztuce — w Lemaitrze znaleźli port miły a bezpieczny, w którym wartki prąd ścierających się doktryn odbijał się łagodnem kołysaniem wyrafinowanej myśli dyletanckiej, otwartej na wszystko, ale i obwarowanej należycie. Wyrafinowani, za jakich się sami uważają, smakosze literaccy, zjadacze dziwnych a rzadkich dań ku własnej uciesze, ocenili w krytyku przedewszystkiem to, że jest impresyonistą. To znaczy, że ma smak nietylko wykwintny, ale i urozmaicony, nieskończenie czuły na wszelkie odcienie i półtony artystyczne. I można powiedzieć, że określenie to stało się najpowszechniejszym... z ogólników, które zazwyczaj służą do „charakterystyki“ znakomitości literackich. Nie chcę twierdzić, że nawet w tak uformowanej opinii nie znajdzie się źdźbło prawdy — sądzę jednak, że w Lemaitrze doszukać się można rysów ciekawszych, zarówno ze względu na samego pisarza, jak i na ów nastrój dość powszechny, którego popularność Lemaitre'a jest poniekąd wyrazem.

I.

Przyjąwszy za punktu wyjścia utartą opinię o Lemaitrze, zacząć musimy od jego działalności krytycznej. Więc wiemy o nim powszechnie, że jest krytykiem-impresyonistą, przyczem osoby, bardziej miłujące galicyzmy, dodają jeszcze: jest to krytyk *moderne*. Pobieżny rzut oka na trzynaście tomów studyów krytycznych autora wystarcza na ogólnikowe usprawiedliwienie owych tytułów. Oto, rzeczywiście, szkice jego o teatrze*), nawet pod nazwą „wrażeń,“ zarówno jak i wizerunki autorów — nie nastręczają prawie nigdzie jakichś kwestyj zasadniczych, badań historycznych lub tak ostatnimi czasy obfitych teoryj, zasad i metod krytyki literackiej. Jest to rys znamienny: jeżeli nawet w studyach o „Współczesnych“**) mówi Lemaitre o Racine'ie lub Scarron'ie — to nic a nic nie zmieniając tonu swych zwykłych pogadanek o współczesnych; nie są to ani historyczne, ani biograficzne badania nad ich rolą, stanowiskiem w literaturze, lecz poprostu „wrażenia“ współczesnego nam widza, znawcy literackiego. Jeżeli znowu wśród licznych autorów artystycznych spotkamy szkic o Brunetierze — nie znaczy to, że krytyk da nam wykład jego krytycznych zapatrywań, jego teoryę. Bynajmniej, szkic o Brunetierze daje nam li tylko psychologiczną dysekcyę pisarza, na zasadzie jego stylu, wstrętów i upodobań, jego metodę pracy.

*) *Impressions du théatre*, 8 seryi.
**) *Les Contemporains*, 5 seryi.

Jeżeli zważymy teraz, że w ten sposób mówi Lemaitre w trzynastu tomach o paruset osobistościach, że od Racine'a przerzuca się do Maeterlinck'a, a od Weissa do Mallarmé'go, że cała ta olbrzymia praca autorska jest w gruncie rzeczy rodzajem przez kilkanaście lat pisanego fejletonu — to zrozumiemy, że taki iście karnawałowy tłum twarzy literackich, naszkicowanych przez krytyka, mógł mu w istocie zjednać przydomek „impresyonisty.“ Stanowisko stałego sprawozdawcy pisma codziennego tłomaczy nam tę rozmaitość tematów, bez uciekania się do „cudownej“ obszerności. Skala literata-dziennikarza musi być niestety „cudownie“ obszerną, musi być również *moderne*, tj. iść za najnowszemi zdarzeniami literatury, jak reporter idzie za „aktualnymi“ wypadkami dnia... Może się komuś uwaga ta wydać banalnem stwierdzeniem faktu — musiałem ją jednak mimo to zapisać, bo ostatecznie trzeba oddzielić to, co pochodzi z rzemiosła, od tego, co płynie z głębi duszy pisarza. I niewątpliwie, „impresyonizm“ Lemaitre'a nie tłomaczy się samem tylko urzędowem stanowiskiem jego w *Débats*.

Przedewszystkiem, jak już zaznaczyłem, nie należy on do żadnej wojującej szkoły krytycznej. Na tyle studyów niema ani jednego, któreby stawiało kwestyę zasad. Rzecz ciekawa: jeżeli mówi o Brunetierze, nie o jego teoryi zresztą, to już wcale nie znajdziemy tu echa doktrynerskiego wystąpienia Hennequin'a, ani nawet poglądów krytycznych Guyau, ani zgoła wizerunku żadnego z wczorajszych lub dzisiejszych systemów. Jest na tym punkcie taka stałość w Lemaitrze, że mimowoli widzi się tę bezprzykładną prawie obojętność na doktrynę. I mimo to, od pierwszego do ostatniego szkicu, wszystkie te, tak na pozór różnorodne wizerunki literackie napisane są według jednej *metody* krytycznej. Ci, którzy sobie impresyonizm Lemaitre'a wyobrażają w postaci rozczochranej sprzeczności sądów, popełniają błąd wielki. Krytyk istotnie wypowiada czasem sprzeczne wrażenia, ale tworzy je zawsze jedną metodą, przyjmowania wrażeń. Możnaby metodę tę wydobyć z każdego szkicu autora. Oto np. najznakomitsza z prac jego — studyum o Renanie. Po zwykłym wstępie, pełnym dobroduszności, obrachowanej na obudzenie pewnego nastroju czytelnika, zaczyna portretować mistrza. Co chwila napotykamy znamienne Renana zwroty stylistyczne, urywki jego mowy, widzimy twarz jego — razem rubaszną i natchnioną. Mamy tu podwojoną zwykłą dozę sceptycyzmu i dowcipu, język artykułu robi się naraz pełnym tych cech, które każdy z nas podziwiał w arcydziełach samego Renana. Istotnie, ta samoanalizująca się analiza, te poetyczne zboczenia, zakończone nagłym, krótkim śmiechem dobrodusznego sceptyka, i ta niewymowna giętkość myśli, „żonglerstwo“ ducha — to jakby dalszy ciąg samego Renana. Studyum Lemaitre'a o nim nie uczy nas nic zgoła o jego zdobyczach naukowych, ale czaruje — czarem samego mistrza.

Ten artykuł jest jak stokrotne echo znanego nam głosu, jak nieskończenie mała miniatura znanej nam postaci, jakby mikrokosmos krytyczny wielkiego dzieła samego autora. Oto jest dar rzadki Lemaitre'a — dar rzadki, niezrównany i prawdziwie godny uwagi. Jego „impresyonizm“ z tego punktu widzenia staje się czemś wprost twórczem: jest to dar jakiejś metempsychozy wcielania się krytyka w duszę artysty, analizowanego w danej chwili. Jest to tak dalece zasadniczym rysem „impresyonistycznej“ krytyki Lemaitre'a, że zarówno w szkicu o Renanie, jak w wizerunkach Maupassanta, Zoli, Huysman'a lub Mallarmé'go — spotkamy się z tą *metodą*. Bo jest to właśnie jego metoda, jako wynik temperamentu. Zawsze rozkład frazesu, nagromadzenie właściwych autorowi wyrażeń, odtworzenie jego sympatyi i antypatyi, wreszcie budowa samego artykułu literackiego na sposób dzieł analizowanego pisarza, dają nam

---

wersach ważących i przeciwstawiających wartość mężczyzny i kobiety, np. w „Walce ze społeczeństwem.“ Nim jednak zupełnie się przeniosła do obozu surowych kobiet-sędziów, pozostawiających nadzieję za sobą, raz jeszcze zastanowiła się nad zagadnieniem miłości w noweli „Aurora Bunge.“

Bohaterka od dziesięciu już lat jest w Sztokholmie królową wszystkich balów. W życiu jej wszystko pewne jest i przewidziane. Zimą co wieczór chodzi na bale, herbaty i przedstawienia teatralne, latem na takich samych zajęciach spędza „czas“ w eleganckiem jakiemś miejscu kąpielowem. Od dziesięciu lat wie dokładnie, z kim tańczyć będzie, jakie jej powiedzą grzeczności, jakiego rodzaju złoży jej mogą oświadczyny i kogo poślubi. Do trzydziestki z zamążpójściem poczekać można, ale tu już wkrótce zbliża się trzydziestka — a więc—czas. Jest obtańczoną dziewczyną, w której wszystko pozą jest i „zblazowaniem,“ mimo to, że nic jeszcze nie przeżyła. Tak będzie i na przyszłość. Pozwala sobie na zupełnie swobodną mowę, nie pozwoli jednak nigdy na czyn swobodny. Zdarzy się może później kilka przykrych zajść małżeńskich — ale nie zmienia to przecież postaci rzeczy. Ma w sobie coś z „Panny Julii“ Strindberga—bez przewrotności instynktów. Chronologicznie jest też od „Panny Julii“ młodszą. Chciałaby uciec z jakimś sztucznym jeźdźcem lub uczynić coś innego w złym smaku, wie atoli, że nigdy tego nie uczyni. Podczas lata, które poprzedza oficyalne jej zaręczyny, czuje nagłą sympatyę dla życia sielskiego i towarzyszy skąpej swojej matce w podróży do zaniedbanego majątku, nad morze. Z trzydziestu letnich pobytów ten jeden nie jest *comme il faut*. Pod wpływem nagłego napadu miłości dla przyrody, włóczy się całymi dniami i tygodniami po lasach i polach, leży nad brzegiem morza i wyjeżdża na połowy z rybakami miejskimi. Przyrasta na ciele, mężnieje, pragnie żyć jak nigdy przedtem, a wciąż ją wabi i wabi... Co? To, co stanowić będzie jedyne zdarzenie jej życia. I poza tem wszystkiem, co czyni—tętni i uderza, niespokojna, rozbudzona krew, mówią i pytają roztęsknione zmysły i dojrzała kobieta trzydziestoletnia zdziera z oczu przepaskę konwenansu i woła w duchu: Gdzieś jest ty, który dasz mi życia pełnię? Podczas jednej z wycieczek, które odbywa na łodce, przybija pewnego dnia do najbliższej latarni morskiej. W chwili, kiedy chce łódź zatrzymać, wychodzi latarnik, mężczyzna młody, silny, spokojny. Ona spogląda na niego i wie—że to on!—Dotąd pani Edgren przelewała na papier tajemne zgłoski własnej duszy i dotąd też każdy rys tchnie prawdą. Ale na tem widać zakończyło się *jej* zdarzenie. Dalszy ciąg jest bezprzecznie poprawną kombinacyą, pomyślaną psychologicznie i logicznie. Ma jednak jeden największy błąd, jaki mieć może utwór poetycki: i pojedyncze jego epizody są pomyślane, a nie przeżyte. I dlatego są przemotywowane. Zaledwie Aurora przybiła, a już zrywa się burza. Zaczyna wirować koło domku strażniczego, niby ptaszę znużone. Latarnik dostrzega niebezpieczeństwo i śpieszy na ratunek. Ona chce rzucić się w wodę. On szybko zsuwa się ze skały i zapobiega nieszczęściu. Przedtem mąż ten z ludu znalazł jeszcze dość czasu dla przeczytania i wręczenia jej poematu miłosnego. Burza trwa trzy dni. Trzy dni pozostaje u latarnika. Potem przybywa po nią rybak. Latarnik unosi się gniewem. Jeżeli odjedzie, niewięcej jest wartą od pierwszej lepszej dziewki rybackiej. Ona pokrywa się śmiertelną bladością, lecz stanowczo szykuje się do powrotu. On grozi jej pięścią. Ona prosi, żeby się wraz z nią utopił. Lecz już matka jego taką zginęła śmiercią, nie chciałby zaś mieć w w rodzinie aż dwoje samobójców. Aurora wraca do domu i więcej go już nie odwiedza. Po kilku miesiącach poślubia zadłużonego oficera.

W utworach pani Edgren spotykamy dwa typy męskie: jednego nie znosi, lecz doskonale umie go uzmysłowić, drugiego uzmysłowić wcale nie umie—za to jednak, zdaje się, że bardzoby go lubiła. Typ pierwszy—to dystyngowany, przez uciechy życia zużyty pan z „towarzystwa“ sztokholmskiego; drugi — to prosty człowiek z ludu, z wielkim zasobem sił.

(D. c. n.).

świat w kropli rosy — utwór autora w artykule krytyka-artysty.

Dla rozmaitości proszę przeczytać studyum o Ohnecie: jak bije stamtąd banalność i płaskość samego autora, jak nietylko *nazywa* Lemaitre jego utwory „potrójnym ekstraktem banalności,“ lecz jak umiejętnie *gromadzi* z Ohneta charakterystyczne cytaty, które *się układają* właśnie w rodzaj ekstraktu snobizmu i ckliwości, cechujących autora. A oto są małe żarciki literackie: *wigilijne opowiadania* Lemaitre'a na sposób Zoli, Maupassant'a, Mendès'a, Loti'ego itd. W kilkunastu wierszach takiej krytyki-parodyi odtwarza Lemaitre styl i zwykły nastrój utworów tych pisarzów.

Nie można zresztą lepiej scharakteryzować tej metody, niż powołując się na zwierzenia samego krytyka. Mimo pozorów, do zwierzeń nie jest on skory i raz tylko, o ile pamiętam, odsłania sam swoje credo krytyczne, to, co nazywam jego metodą:

„W ostatecznej analizie tem, co najbardziej mię interesuje w każdem dziele sztuki — jest to właśnie *sposób przekształcania lub nawet wypaczania rzeczywistości przez daną umysłowość*. Tem, co najbardziej lubię w najmniej nawet udatnej książce Flaubert'a — jest zawsze sam Flaubert. Najwięcej podoba mi się w najsurowszym nawet artykule Brunetière'a — sam p. Brunetière.“

Oto jest słowo, które tłomaczy nam ogólnikowy termin: krytyk-impresyonista. Wszędzie szuka on w artyście owego *sposobu przetwarzania rzeczywistości*, znalazłszy zaś go—stara się oddać artyście w terminach właściwych.

Możnaby powiedzieć, że Lemaitre jest w tym razie podobny do Taine'a, który w pisarzach szuka ich *qualité-maitresse* ich zasadniczego rysu duchowego. Założenie istotnie jest podobne — tylko że Lemaitre'owi nie chodzi jedynie o rys zasadniczy, lecz o całość pisarza i nastroju. I to właśnie owo wysokie poczucie półbarw, półtonów i odcieni uzupełnia analizę i pozwala krytykowi dawać nie sam ekstrakt z pisarza, lecz jakby jego miniaturę artystyczną. Zresztą, jak zobaczymy wkrótce, są inne jeszcze przyczyny, które stawiają Lemaitre'a w dalekiem zaledwie powinowactwie zasady z Taine'm i Bourgete'm i pozwalają mu zachować fizyognomię odrębną. Przedtem jednak, nim skupimy rysy Lemaitre'a w zupełny wizerunek, musimy poznać go z całkiem nowej strony.

Teraz już wszakże możemy przyznać, że krytyk tego rodzaju, szukający „sposobu przekształcania rzeczywistości,“ właściwego każdemu artyście, a więc szanujący przedewszystkiem indywidualność artystyczną — krytyk taki pożądanym był w epoce, kiedy zasada indywidualności wybijała się właśnie, jako najpowszechniejsze hasło literackie. Wrażliwość o skali istotnie obszernej, giętkość słowa sprzyjały takiemu założeniu krytyka. Ale nadewszystko sprzyjała mu ta okoliczność, że nie miał sam żadnej doktryny, żadnej teoryi własnej: nie szukał w utworze literackim ani środowiska, ani „znaku“ dla swojej epoki; nie pilno mu było do roli klasyfikatora roślinności piśmienniczej; nie patrzał na współczesnych przez pryzmat wieków średnich czy epoki oświecenia... Tu nastręcza się ciekawe pytanie: czy, mianowicie w życiu artystycznem, znamy objawy tego nastroju, który w polityce nazywamy oportunizmem? Przypuszczam, że tak; sądzę, że istnieją pewne ogodowo i praktycznie nastrojone indywidualności artystyczne. Podobnie jak oportuniści w polityce, odznaczać się one będą przedewszystkiem pojemnością swej skali i niechęcią do wszelkiej doktryny. Jeżeli tak jest, to możeby właśnie Lemaitre przedstawiał jeden z tych okazów? Istotnie, cechy, o których była mowa, wyrabiają w nim pewien nastrój, który mógłby mu zjednać przydomek krytyka - oportunisty. Z epitetem tym zgadzałby się i ten fakt z działalności Lemaitre'a, że będąc tak na pozór wrażliwym, nigdy nie objawiał tej wrażliwości w formie krańcowej. Nie był nigdy nowatorem: bez niego odbywał się ciekawy ruch teatrów niezależnych w Paryżu, nie rozpoczął on swej karyery w żadnym z t. zw. przeglądów niezależnych. Od początku stanął mocno w akademickiej *Revue bleu* i odrazu niemal zajął stanowisko kronikarza w *Débats*, które już od lat dziesięciu piastuje. Nie jestże to charakterystyczne — ta urzędowa niemal rola subtelnego krytyka literackiego w urzędowym organie szanującego się, w dobrym tonie oportunizmu?..

Jerzy Grot.

LITERATURA POLSKA.

Jan Kasprowicz, *Miłość*, Lwów, u Jakubowskiego i Zadurowskiego, 1895, str. 175; A. Lange, *Poezye*, Kraków (wydanie autora) 1895, str. 232.

Znów—jak z pod skały—trysnął strumień pieśni... Lecz to nie były te cudowne zwrotki, duchem łagodnej harmonii przejęte, co goją rany; to nie zdrój był słodki, jasny i świeży, co zioło pomięte podnosi znowu ku niebu i wiotki krzak zmienia w dębu konary niezgięte, i ziarnka z twardej wydobywa ziemi, by się pokryła kłosy złocistemi. Nie! przeciwieństwem była pieśń ta nowa wszelakiej pełni i wszelkiego życia; zawiędła w rdzeniu, zwątpieniem niezdrowa, tłumi nadzieję już u jej spowicia, wiarę tam spycha, gdzie przepaść grobowa, a znak miłości, który od rozbicia ochrania wszechświat, w nienawiść przemienia, świeżych wciąż ofiar żądna i zniszczenia.“

Temi słowy Kasprowicza wita zazwyczaj tegoczesny sprawozdawca każdy nowy utwór poetycki, każde westchnienie duszy spragnionej burzy czy ciszy, walki czy przymierza, ideału czy rzeczywistości. Niezadowolenie, z jakiem się odzywamy o wieszczach ostatniej doby XIX stulecia, udziela się stopniowo ogółowi czytelnictwa, i oto powstaje dokoła nas powietrze tak słotne i skwaszone, że w niem rdzewieją najdroższe klejnoty, więdną i płowieją najświetniejsze barwy. Czegobyśmy jednak właściwie chcieli od naszych bardów i Bojanów? jakiebyśmy dla nich postawili wymagania we względzie treści lub formy? — tego nikt nie odgadnie. Powrót do okresu romanceros lub Niebelungów zamknęły przed nami wojny napoleońskie; misterya średniowieczne jużby nas znudziły nawet w wielki piątek; literaturę starożytną do dna wyczerpał i wypaczył pseudo-klasycyzm; Szekspira przetłomaczyliśmy po razy kilka i najwyborniej; Goethe za długo żył, aby cokolwiek po nim na jego zagonie pozostało dla nas do zaorania; Wiktor Hugo sam stał się jeszcze za życia swoim przeżytkiem; puściznę Byrona wyzyskaliśmy nad jego zasługę i nad naszą potrzebę. O cóż więc chodzi? — Śpiewa każdy jak może i umie.

Wśród popłochu na giełdach i szczęku oręża w Armenii, Kasprowicz śpiewa o miłości. Dobrze, dlaczegożby nie! miłość, jak wiadomo, bywa trojaka, jedna desperacka, kiedy „naga Rozpusta, tańcząca kankana, wódczanych mgłą wyziewów, miast ambry owiana,“ powiada do nas: „Takie władną prawidła we wszechświecie, że ponad wszystko jest miłość, nie we mgle sfer podobłocznych zrodzona, lecz tutaj w naszych uściskach i naszych całunkach;“ druga—grzeszna, ilekroć po pewnych zboczeniach, mniej więcej głębokich, Beatryks nasza dostaje „męża, co prostą drogą zdobył sobie żonę,—drogą do ślubu, tak jak każą księża, których prawda zwyciężyła i wciąż zwycięża“; trzecia wreszcie—*amor vincens*, znacznie od tamtych zawilsza i mglistsza, urobiona w Ellenai Słowackiego, ale za to tak podobnie potężna, że naraz pod jej tchnieniem—„o przedziwne dziwy! odżył na nowo ten, co był nie żywy“... Dwie pierwsze kategorye poeta wspaniałomyślnie odstąpił swoim dawnym znajomym i przyjaciołom i o tem z góry ostrzegł publiczność w przedmowach, skreślonych prozą; trzecią opatrzył tylko podtytułem, że jest to „fragment z dziejów duszy idealisty,“ a więc wolno przypuszczać, że w gatunku tym mieści się jak najmniej ziemskich zdrożności i przywar. Istotnie, mamy tu kilkanaście strofek bardzo pięknych i wzniosłych, przedstawiających zmartwychwstanie idealizmu w świetle tak uroczystem i wonnem, że naocznie cud oglądamy. „Naraz, jakby od zachodu, od brzegów morskich, w sierpniową spiekotę spłynęły z wiatrem nikłe pyłki lodu i niewidzialne dla oczu, ochotę wlały widoczną w żyły tych, co z głodu i zmęczenia upadli, robotę zostawiwszy w pół niedokończoną—świeży prąd życia przebiegł *jego* łono... Czystym się uczuł, bo obmyty chrzestem nadziei, wiary i wielkiej miłości, z duszy zawołał: Oto znowu jestem, oto Duch Boży znowu we mnie gości i znów mnie wiedzie skrzydeł swym szelestem w środek gotyckiej świątyni ludzkości, bym na ołtarzu jej pragnień, jej bojów, składał ofiarę z własnych trosk i znojów... Z pieśnią na ustach,—bo i ta w młodzieńczej krasie grobowej uszła z nim zatracie, marna jak kwiat ten, który lipy wieńczy, słodka jak miód ten, co mieszka w tym kwiacie, silna jak napój, gdy ten miód rozcieńczy grzybek fermentu—poszedł w majestacie potężnej woli głosić bez wytchnienia naukę czynu, hasło odrodzenia... Szedł z apostoła bożego pokorą, lecz i z odwagą pańskiego wysłańca, żadną przeciwieństw nie wstrzyman zaporą, jak Dant w sam środek piekielnego tańca—szedł krzepić ciało, wzmacniać duszę chorą, rozpraszać zmroki blaskami kagańca, szedł pośród cieni, lodów, wrogiej zgrai, a z nim szła razem wierna Ellenai“... „O Ellenai! uczuł on, że w wielkiej duchów wędrówce, ongi, przed wiekami, nim pył w chaosie ziemią, a kropelki nikłe morskiemi stały się falami, duch dobra, dan mu z woli Rodzicielki, z rąk Praharmonii władnącej bytami, lwią część swą zgubił, aby żyć jak w grobie, pokąd jej oto nie odnalazł—w Tobie“ (str. 99, 100, 103).

Wojski grać przestał, ale echa — jak wiemy — grały dalej. U Kasprowicza trylogia na cześć miłości rozbrzmiewa takimi odgłosami z gór — i naturalnie potrzykroć: o poranku, przy szumie drzew i w turniach... Odgłos ostatni, końcowy, jest prześliczny, shelleyowski. „W jednego ducha zlani, płyńmy już, płyńmy falami — ale nie sami! nie sami!.. Świat niech popłynie z nami! Z wszystkiem co żyje związani, zbratani, popłyńmy, popłyńmy ninie po tej rozkoszy głębinie, po fioletów przestrzeni, co skrami złota się mieni. Potem, raz jeszcze wpatrzeni w ten żywy szmaragd na fali, który tam w słońcu się pali, w kryształ podziwu skropleni — rozpłyńmy się jak kropla w tej płynącej dali“ (175).

Wytykano niegdyś Kasprowiczowi, że się myślą zanadto rozbijał i roztrącał o tematy przepaściste, jeden od drugiego odległe, że potrącał o początki i o końce świata, o chłopów i o bogów, o Chrystusa i o niewiarę. W „Miłości“ bogata i rogata ta dusza przycichła nieco, ukoiła się. Styl tylko rozszalały zawsze i rozpędzony na cztery krańce widnokręgów — to idylicznych, to dramatycznych, to uczuciowych, to opisowych. Gdyby rzeczywiście świat—jak chce poeta — „popłynął z nami, czy też za nami,“ ciężkoby mu było obrać jakiś jeden stalszy kierunek.

Jednakże, wyznać trzeba, że to rozdar-

cie natchnień poetyckich na płachty i szmaty, raz podniebne, drugi raz podziemne, tam pnące się na wyżyny, owdzie pełzające po nizinach, nie jest ani wyrazem jakiejś dowolności indywidualnej, ani odbiciem chorobliwego jakiegoś nastroju ogólnego, w rodzaju owej mieszczańskiej, od lat tylu nadużywanej newrozy społecznej, wynikającej jakoby z oddychania ciężką atmosferą *kończącego się* wieku, znamionującej *przełom* dwu epok itp. Kończą się te wieki rozmaite ciągle, codzień, od początku istnienia, przełamują się te epoki wszelakie od chwili ukąszenia jabłka przez Ewę, i wszystko stoi na miejscu, wszystko zcała się i klei po dawnemu. Sądziłoby owszem należało, że się tu ma do czynienia ze zjawiskiem najzupełniej prostem i od nóg do głowy zdrowem. Dopóki święto gaje huczały nad głowami, dość było wychylić głowę za okno, aby posłyszeć i słowicze trele, i orlich skrzydeł szelest; dziś, dla oglądania wróbla trzeba biedz za dziesiątą i dwudziestą miedzę, a o sokołach i jastrzębiach już chyba powie ci coś stary strzelec nalibocki lub góral tatrzański. Nie dziw więc, że ludzie biegają i skaczą za dni naszych, jak oparzeni, chcąc pochwycić parę zwrotek rajskiego ptaka poezyi: za rzekami on, za górami!.. J. Kasprowicz stamtąd powrócił — to i chwała Bogu! A Lange tam pojechał — to i prowadź Boże! Cóż w takich razach więcej byłoby do nadmienienia?

W pierwszej, świeżo wydanej części „Poezyj“ Langego wątków owych pozakrańcowych, pozaświatowych, z przed zaczęcia i z przed zapadnięcia słońca, jest do zawrotu głowy. W samej tylko księdze proroków (s. 129—140) występują: Mojżesz z powszechnem prawem jedności, Brahma ze wszechbytowem przykazaniem wielości, Zoroaster — z wiekuistą walką świateł i cieniów, Chrystus — z boskim nektarem miłości, Mahomet — z twardem jarzmem konieczności, Budda — z nieubłaganem widmem znikomości... A dalej, po za znikomością?... „Przeminęły tysiącwieczne dni słoneczne, gorejąca kula słońca zatraciła złoty żar, cały wszechświat życiem gwarny, w jakiś pomrok zapadł czarny, wszechogrojec planetarny zlodowaciał—zastygł—zmarł... Znikły tęcze, zorze, świty i zapadły ziemskie byty w grób żywiołów, w proch popiołów, w bezpotomny, nędzny pył, wyschł jezior błękit srebrny, zamilkł lasów szum gędziebny, zamilkł ptaków chór podniebny, zamilkł bój duchowych sił... Świat jak martwych ciał kopalnia... Ruch się zwalnia — zwalnia — zwalnia: równowaga byt przemaga, staje — staje... Ustał ruch. Jako we krwi pulsów bicie, w ostatecznych minut zgrzycie ostatecznie zmilkło życie, ostateczny zagasł duch... Naraz — naraz wśród przestworzy słychać jakiś dreszcz, co trwoży, jakieś tchnienie, jakieś drżenie, pełne świeżych wiatru wian. I ogromny, piorunowy, niby nowy hymn odnowy, zabrzmiał wielki głos Jehowy: Stań się, światło, większy — stań!“ (179—183).

Ma się rozumieć, że w tej palingenezie moc i ogromna zwięzłość słowa dotarły do swego szczytu, ale nie brak i innych miejscach blasków, w których idea dalekolotna lub głęboka łączy się z potęgą świetnego wysłowienia, stłoczona i zakuta w niem zwycięzko. Kilka sonetów wedyjskich, kilka erotyk, kilka sielanek — do jehowiczných należą. Urywki z poematu o Waligórze i Wyrwidębie podbijają swą prostotą niezwykłą, bo wymierzoną, usilnie zdobytą. Tajemnicze jaskinie podań gminnych, zarówno jak i współczesna dola ludu, także nie są poecie obce, ani obojętne. „Dziwna postać ta oracza! — idą, płyną pokolenia, jego nie ma przeinacza, jego ducha nie nie zmienia.. Takim był on za dni Lecha, za Lumirów, za Bojanów; nieruchoma wiejska strzecha, nie zna świata huraganów. Gdzieś na świecie wyły burze, świat niejedno stworzył dzieło — on niezmienny w swej naturze: skrzydło dziejów go nie tknęło“ (15). Trafnie też w „Pieśni o słowie“ wyraża się autor: „Bo nie myśl, że to słowo jest gdzie w dali. w uczonych księgach albo w słońc ogromie; ono się nieraz w prostym krzaku pali, w prostaczej piersi żyje nieświadomie. I nieraz dziecko wieśniaczego progu, wędrowny kramarz albo dziad żebrzący, takie ci słowo powie pełno Boga, że stajesz przed niem zdumiony i drżący“ (148).

Życzyćby może należało, aby ta prawda pospolita — od maluczkich i dla nich — zapamiętaną była i wziętą do serca. Więcej w niej żywotnego ciepła i dobrych przyrzeczeń na przyszłość, niżli w tych ciągłych antytezach psychologicznych lub socyologicznych, przepełniających pośmiertny głos Janusza X., przyjaciela Langego: „W piersi naszej Chrystusy żyją i Nerony, w piersi naszej bogowie żyją i bydlęta, a duch nasz przebaczeniem cały przepełniony, nieraz się nienawiścią, jak burza, rozpęta...“ Zresztą nawet w nurtach tego pesymizmu nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, skoro nad nimi unosi się pewność, że wcześniej czy później uderzy musi godzina, „kiedy Noc tęskniąca rozkochane swe łono odda bogu Słońca“ (112).

J. T. Hodi.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Alfred Konar, *Gąsienice*, komedya w 3 aktach (4 obrazach).

Nowa sztuka autora *Bankrutów* zagroziła mu upadłością. Czy będzie z niego twórca dramatyczny poważny? — takie pytanie stawiać sobie teraz potrzeba. Pisarzem scenicznym, producentem wyrobów dla sceny, być on jeszcze może — ale czy będzie kiedykolwiek poważnym twórcą? Jest wprawdzie jeszcze młodym, ma czas się wyrobić, lecz i ten błogosławiony talent, jakim jest młodość i ten wielki skarb, jakim jest czas, same przez się do wyrobienia się mu nie wystarczą, a właściwych czynników rozwoju w dotychczasowych dziełach Konara najprzychylniejsze nawet oko nie dostrzeże. Konar przedewszystkiem to dzieła swoje *pisze*, a nie *tworzy*; czuć w nich pióro, mające pewną indywidualność, nie widać oka patrzącego w świat, umysłu przetwarzającego zjawiska życia w objawienie sztuki. Dotychczasowe jego utwory sprawiają wrażenie fantazyi i waryacyi na temata ogólnikowych form człowieczeństwa rodzajowego *in actu*, ale nie utworów, w którychby sam człowiek z obyczajową duchową psychiką swoją, z pałającem życiem osobniczem występował. Są to zabawki, figle, mniej lub więcej poważne, ale nie *dzieła*. Ani sam twórca, ani jego twory, ludzie na scenie, nie mają indywidualności, jakiej potrzebuje sztuka, aby żyć i życie swoje czynami dodatnimi stwierdzać.

Takim czynem dodatnim nie są *Gąsienice*. Jeżeli nawet zastanowić się pilniej nad tą nową komedyą Konara, to daje nam ona mniej jeszcze rękojmi przyszłego wyrobienia się autora, niż *Bankruci*. Tam Konar był szczerym i z samym sobą i z widzem, szedł za jakiemś natchnieniem satyrycznem, złem lub dobrem, ale szedł; tutaj stara się kaptować widza efektem dla efektu, daje więc najgorszy rodzaj sztuki. naganny w pisarzach starszych, zabójczy dla młodszych. Ta chęć podobania się widzowi — to jędza, która rozszarpie z czasem talent, w najgłębszych jeszcze osłonach ukryty. Lepiej tworzyć źle a szczerze, rządzić się pewną, choćby najbłędniejszą logiką raz powziętego pomysłu, niż porzucać ją dla zyskania względów szanownej publiczności czemś, co przynajmniej oczy jej uderzyć będzie musiało, choćby ani wyobraźni, ani serc wzruszyć nie mogło. Ten Mefistofeles, wprowadzony do *Gąsienic*, sprawia efekt przygnębiający. *Siostry Malinowskie*, ukazane jako gąsienice — i Mefistofeles, wzięty, jako pomysł, z Goethego! Czy może być większe nadużycie artyzmu? Jest to jakby wielkie okno gotyckie z ciosowego kamienia, osadzone w małym domku drewnianym dla letników. Konar nie zastanowił się nad złym smakiem takiego eklektyzmu, nie pomyślał, że światło piekielne, rzucone na postać złego ducha, nie wynagrodzi mu nigdy straty, jaką poniósł, zrzekając się tego, co z samych *Sióstr Malinowskich* mógł wydobyć — gdyby tylko był zapomniał o widzu, a pamiętał o sztuce.

Z *Sióstr Malinowskich* mamy w *Gąsienicach* tyle, ile weszło do aktu I-go, i to też jest ze wszystkiego najlepszem. Niewielka obrada, ale przynajmniej pobudki, sprężyny poruszające są nie sfałszowane. Ten mikrokosmos ludzki mógł się wewnątrz tak poruszać, jak to nam Konar pokazuje; nic tam nie chwyta, ale też i nie odpycha, a nawet jakaś jedna druga chwila podobać się może. Akt II jest zupełnie czczym, bez szczypty psychologii, a raczej psychologiki dramatycznej. W akcie III modny dziś pomysł snu, najdzielniej użyty w starej już, a wcale nie złej sztuczce wiedeńskiej ludowej *Von Stufe zu Stufe*, daje widzom nadzwyczajność. Śni się jednej z gąsienic, Helenie, że się oddała Baronowi na jego zamku; przychodzi sumienie w postaci czerwono oświetlonego Mefistofelesa i męki piekielne zadaje. Cała sztuka w tem, czy widz poznał się na podstępie, czy nie? Sztuczka! Z *Sióstr Malinowskich* stosunek młodego lekarza do Wandy, charaktery męża pantofla i żony sekutnicy dawały lepsze tworzywo do komedyi—tylko Konar skorzystać z niego nie chciał. Dlaczego z owego męża pantofla, upijającego się w śnie swej córki sokiem malinowym, dla większej odwagi, nie wybuchnął nagle, w szczerej już rzeczywistości, człowiek prawy, ojciec prawdziwie kochający? To byłoby prostsze, lepsze od wszystkich niespodzianek—od grzmotów, błyskawic, światła z czeluści piekielnych, tragizmu wrzekomego upadku i samego wreszcie nieprzyjaciela rodu ludzkiego, dla którego chyba Konar cały ten akt trzeci napisał.

We wrażeniach z gry scenicznej jeden tylko p. Frenkiel odbił się zupełnie pochlebnie. Pani Trapszo zanadto szczebiotała; pani Marcello, chcąc być spokojną — a jej niepokój to jej talent sceniczny—była w akcie I sztucznie drewnianą, zimną; pani Ostrowska nie miała tonu szczerości; wogóle panie robiły za wiele piskliwej wrzawy. Role męzkie: pp. Ładnowskiego, Wolskiego, Nowickiego i Rolanda nie są nawet rolami. P. Ładnowski dobrze recytował swą mefistofeliadę.

Wogóle z teatru wyszło się z pustym prawie kłoskiem. Tak przykro!

Stanisław Krzemiński.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Józef Hoffman. — Lutnia.

Po Śliwińskim — Hoffman,—istne zapasy fortepianowe między godnymi siebie współzawodnikami, choć tak różnymi indywidualnością talentu. Co prawda, o indywidualiźmie Hoffmana dziś jeszcze ostatniego słowa wyrzec niepodobna. Wirtuoz taki jeszcze młody, że kto wie, jakie piętno na talencie jego wyciśnie życie, które dziś zna chyba z najjaśniejszej strony i—z opowiadania.

Jeżeli w tym względzie wróżb wypowiadać nie można i przewidzieć nikt nie zdoła, czy młodzieniec zachowa nazawsze klasyczny spokój, jaki dziś grę jego cechuje, czy nie zbudzi się w nim porywająca siła temperamentu—to z drugiej strony nieprawdopodobnem wprost się wydaje, by technikę mógł do wyższej doprowadzić doskonałości, by więcej poezyi mógł wlać w wykonywane utwory, subtelniej każdy frazes muzyczny wycieniować, głębiej i trafniej myśl kompozytora odczuć. „Cudowne dziecko“ tym razem nie zawiodło—słuchając gry tego wielkiego wirtuoza uprzytomnić sobie trudno, że się ma przed sobą 17-toletniego zaledwie młodzieńca. Hoffman nie goni za łatwym efektem, nie posługuje się błyskotliwymi środkami—choćby mu to tak łatwo przyszło przy tej bajecznej sprawności i sile ręki—a jednak opanowywa najzupełniej słuchacza, potrafi uwagę jego przykuć nawet do takiego, mało dla szerszej publiczności wymownego dzieła, jak „Waryacye“ (D-mol) Händla. Prawda, powaga, uczucie szczere, wszelkiej pozbawione czułostkowości, przemawiają z każdego dzieła, wykonywanego przez artystę. Wypełnił on cały program sam, dając w ten sposób możność poznania wszechstronności swego wirtuozostwa. Chopin, Schumann, Mendelssohn, Schubert, Liszt, Wagner, na dodatek Moszkowski i Rubinstein przemawiali kolejno z pod jego palców do zasłuchanej publiczności, a każdy właściwą swoją mową, każdy odrębnem piętnem zaznaczony.

Tłumnie zebrana publiczność owacyjnie przyjęła artystę, który ofiarowanego honoraryum zrzekł się na rzecz Towarzystwa muzycznego i złożył tem nowy dowód solidarności z miastem rodzinnem. Hoffman nie zwlekał z przybyciem do Warszawy, aż będzie syt zagranicznych wawrzynów—przyjeżdża tutaj w świetnem zaraniu swej karyery artystycznej, daje możność oceniania postępów swego wielkiego talentu, tym, którzy od początku rozwój jego śledzili z żywem zajęciem.

Na drugim koncercie „Lutni“ w tegorocznym sezonie (d. 19 b. m.) mieliśmy jedną poważniejszą nowość — kantatę Żeleńskiego „Do muzyki,“ napisaną na chór mieszany z towarzyszeniem instrumentów dętych i perkusyjnych. Utwór ten niepozbawiony jest szerokości frazesu w przewodnich pomysłach melodyjnych, zaleca się też umiejętnem traktowaniem chóru, ale porwać nie może, zagrzać „do muzyki“ nie zdoła. Zastrzegamy, że tak nam się wydało, słuchając kantaty na koncercie „Lutni,“ na którym akompaniament streścić się musiał z konieczności w fortepianie; być bardzo może — a nawet na pewno — utwór zyska wiele, mając to tło instrumentalne, jakie mu przeznaczył kompozytor.

Program lutnistów obejmował nadto szereg drobnych piosenek, zapewniających chórowi stałe powodzenie u publiczności, a czerpanych przeważnie z motywów ludowych i z muzycznej literatury zagranicznej. Z pierwszej kategoryi podobała się najbardziej piosenka „Witaj, Kasiu“; z utworów obcych wykonali lutniści po raz pierwszy śliczną pieśń myśliwską Gounod'a „Zasadzka,“ prawdziwe arcydzieło w swoim rodzaju. Szczerą wesołością i werwą ujęła zręczna humoreska Moniuszki, „Niejeden nam prawi,“ na głos solowy (p. Jeromin) i chór. Zakończyli śpiewacy swój popis niesłychanie dowcipnie i oryginalnie pomyślanym, znanym chórem Miłosza Kotarbińskiego, „Żaby.“ Słyszeliśmy jednak ten utwór lepiej już przez lutnistów wykonywany.

Solistami byli: p. Jeromin (śpiew) i p. Emil Młynarski (skrzypce). Pierwszy, śpiewak rutynowany, o głosie dźwięcznym i dobrej szkole, wykonał bardzo artystycznie aryę z „Don Carlosa“ Verdi'ego, a jeśli zabrakło mu werwy i temperamentu do „Dwóch grenadyerów“ Schumann'a, wynagrodził to szczerem uczuciem, z jakiem odśpiewał „Słowiczka“ Moniuszki.

Gra skrzypcowa p. Emila Młynarskiego zaleca się dużą poprawnością i elegancyą; smyczek jego nie wydobywa wszakże ze strun tonów głębszych, chłód wieje z pod palców artysty. Oprócz kompozycyi Riesa i Sarassate'go wykonał kilka własnych, wcale udatnych utworów (poloneza, mazura i kołysankę).

Br. N.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Dla dzieci: Z. Morawska, *Wielkie zdolności*, przygody Zygmusia, dwie powiastki z ilustracyami H. Piątkowskiego (str. 221, Gebethner i Wolff); Cecylia Niewiadomska, *Odrodzona* (str. 293 — Gebethner i Wolff).

— P. L. Birkenmajer wydał z równoległym tekstem łacińskim i polskim oraz objaśnieniami *Geometryę praktyczną* Marcina Króla z Przemyśla (str. 82).

— Księgarnia S. Glejsztora wydała nr. 14 „Katalogu dzieł dawnych i wyczerpanych.“

ŻYCIE SPOŁECZNE.

NASZA HYGIENA.

II.

Mieszkańcy miasta zazdroszczą wieśniakom bogatych źródeł zdrowia: powietrza, przestrzeni, lasów, spokoju, ruchu. To są rzeczywiście skarby, których wielkie rojowiska nie zdobędą nigdy. Ale natomiast wieś przy swoich zaletach posiada wprost zabójcze warunki w dziale podstawowych środków żywności: mięsa, które na szczęście nie jest tam artykułem codziennym. Posłuchajmy, co mówi dr. Tchórznicki, gruntowny znawca tych spraw: „Włościanie żywią się przeważnie strawą roślinną; mięso jest rzadkością odświętną, lecz zjawia się ono nieraz niespodziewanie na stole, tak, że dziwićby się należało, w jaki sposób?.. Sposób ten jest bardzo prosty. Oto u jednego z sąsiadów zachorowała krowa; co jej jest — nie wiadomo. Już puszczono krew, dawano środki czyszczące, robiono rozcierania, rozrzynano uszy, przecinano skórę, wycinano błonkę z oka, sypano w oczy tabakę, ciągano za ogon — nic nie pomaga; zwierzę się pokłada, nie przyjmuje paszy, gorączka wzrasta, nozdrza zimne — niema co robić, trzeba dorznąć. Dorzyna się więc chorą sztukę i po taniej cenie rozprzedaje się mięso między sąsiadami. Było tam trochę wrzodów w płucach lub na wątrobie, ale to nic nie szkodzi, przecie nic w mięsie — tak myśli naiwny spożywca.“

Czasem właściciel, nie chcąc sam dorzynać, wzywa pachciarza lub arendarza karczmy, ten kupuje krowę, płaci tyle, że rogi i skóra więcej warte. Każdy rzeźnik małomiasteczkowy ma takich agentów po wioskach, wszystkie więc chore sztuki bydła idą do tego ogniska handlu mięsnego. Nawet innych tam nie sprowadzają, bo — jak twierdzi dr. T. — zdrowsze mogą jeszcze dojść do Warszawy, więc zabijać ich na miejscu niema żadnej racyi. Zresztą jeżeli śród bydląt, skupowanych po wioskach, zdarzy się zdrowsze, daje ono mięso „koszerne“ wyłącznie dla żydów, którzy dostają lepsze lub gorsze, stosownie do hierarchii miejscowej. A jakież tam rzeźnie! — Stary, lichy budynek na czterech słupkach nad kanałem lub stawem; dach odarty, podłoga zgniła, a pod nią głęboki dół, wiecznie napełniony masą cuchnącą, złożoną z krwi, wnętrzności i wszelkich odpadków. Stamtąd szerzy się zanieczyszczenie wody w okolicy. Mięso rozćwiertowane idzie do brudnej izby żydowskiej lub stodółki, służących za jatki.

Przekształcenie tych warunków na lepsze nie jest rzeczą łatwą. Według przepisów obowiązujących, rzeźnik powinien mieć od sprzedawcy świadectwo, że bydlę zdrowe. Nic łatwiejszego, jak otrzymać taki dowód. Wprawdzie istnieje przepis, nakazujący rewizyę bydła, przeznaczonego pod nóż, ale rzeźnik umie rozmaitymi sposobami zmęczyć badacza, zmylić jego uwagę. Przytem podstawia najczęściej sztukę zdrową, a chorą zarzyna. Próbowano znaczyć skórę, ale i tutaj rzeźnik potrafi się wywinąć łatwo i pochlonąć lekarzowi tyle czasu, że niepodobna ścisłej rewizyi wykonać. Należałoby wzmocnić energię i dozór, ale kto się tem zajmie, skoro każdy powiat posiada jednego tylko weterynarza? Nieraz epidemia przejdzie wszystkie obory, a on o tem nie wie. Dodajmy, że ma nadmiar pracy, a jednocześnie strasznie się boi podwojenia liczby towarzyszów, bo i tak z jednego powiatu zaledwie może zarobić na utrzymanie. Wkracza tu więc kwestya ekonomiczna, bardzo poważna, i kto wie, czy przy takich warunkach wzmocnienie szeregów weterynaryjnych nie wywarłoby wprost odmiennych skutków: licho uposażeni byliby skłonni do nadużyć i działoby się nadal to samo, co i dzisiaj.

Dr. Tchórznicki radzi w braku tych specyalistów powołać ludzi wykształconych „dobrej woli,“ którzy przyjęliby obowiązek rozstrzygania wątpliwości. Środek ten, zdaniem naszem, nie zupełnie będzie stanowczym. Badanie chorego bydła nie może się ograniczyć do oględzin zewnętrznych, skoro w wielkich miastach, gdzie przecież dochodzi bydło zdrowe, istnieją drobnowidzowe analizy mięsa i bywają wykrywane zarazki bardzo niebezpieczne dla organizmu ludzkiego. Ale wobec tego, że na wsi są sprzedawane woły lub krowy, dotknięte chorobami śmiertelnemi, przyjęcie obowiązków dozoru przez ludzi ukształconych byłoby bardzo pożądane, a obeznanie się z elementarnymi objawami cierpień zwierzęcych nie należy do rzeczy trudnych.

Oto wskazówki i zadania, zalecane przez dr. Tchórznickiego: Przekonać się, czy sztuka wygląda zwyczajnie zdrowo i rzeźwo; czy nie jest zbyt apatyczna; czy ma oczy normalnego koloru, nie zbyt bystre i nie nalane krwią; czy temperatura ciała nie jest zbyt podniesioną, co można poczuć ręką, włożoną pod pachy; czy z pyska nie idzie piana lub ślina, czy nozdrza nie są zbyt gorące lub zimne; czy zwierzę nie pokłada się; czy chętnie je siano lub słomę i pije wodę; czy nie ma rozstroju organów trawiących i kiszek, czy nie jest zanadto wychudzone, pokryte krostami itd. Na obejrzenie takie dość jest dziesięć minut, i jeżeli zboczeń wskazanych niema, bydlę może być prowadzone na rzeź, ale pod okiem badacza honorowego.

Nie wiem, czy wielu byłoby chętnych do tego śród warstw ukształconych na wsi, ale to tylko zaznaczę, że każdy dobry i sumienny ziemianin powinien być trochę weterynarzem. Ci zaś, który mieszkają w pobliżu miasteczek, niech przyjmą na siebie ów obowiązek czuwania nad zdrowiem publicznem. Tym sposobem chociaż w części dałoby się zapobiedz niebezpieczeństwu. Po za tem należy przekształcić zupełnie rzeźnie obecne, według opisów i dobrze obmyślanych planów d-ra Tchórznickiego. Projektodawca jeszcze liczy na oświatę ludu—rachunek bardzo odległej przyszłości...

Nie na tem wszakże się kończy niedomaganie hygieniczne prowincyi i nie na

tych tylko środkach—„dobrej woli" jednostek trzeba poprzestać. Sam autor „Pilnych spraw" powiada, iż niemałą rolę odgrywa brak dostatecznego poparcia przedsięwzięć hygienicznych ze strony osób, mających możność i władzę do wprowadzania ich w życie. „Wychodzi na to: do Boga wysoko, do króla daleko, do sądu kłopotliwie, a tymczasem wszelkie rozporządzenia pozostają bez skutku." W miasteczku jest tak zwana „rada sanitarna," powołana do życia niegdyś w czasie epidemii, a złożona z lekarza, aptekarza, obywatela, wójta gminy i paru mieszkańców osady. „Kiedy niekiedy latem—powiada autor—postanawiamy obejrzeć pod względem zdrowotnym domy i podwórza. Zbieramy się, idziemy w towarzystwie strażników ziemskich, wchodzimy do izb, na podwórza i opisujemy stan rzeczy. Wszędzie brud, ciasnota po trzy rodziny w jednej izbie; mieszkańcy suteren siedzą w wilgoci, składy skór duszą lokatorów, doły kloacze pełne zgnilizny, a deszczowe wody ściek do nich mają; wreszcie sufit jeden wisi nad głowami, grożąc zawaleniem." Wynikiem oględzin jest protokół, oznaczenie terminu porządków i nowego zejścia komisyi. No, i po tych formalnościach nic się nie zmienia. Pozostaje jeszcze sąd. Ale zanim sprawa przyjdzie na kadencyę i zbiorą się świadkowie, brud i gnój dalej trwać będą; „a że tam kilku ludzi w osadzie wcześniej umrze, to mała rzecz; czy tak, czy owak... poumieraliby"...

Niepodobna nam rozpatrzyć i oświetlić wszystkich spraw, poruszonych w ciekawej książce d-ra Tchórznickiego; musimy więc tylko poprzestać na bardzo ważnych. Do tych należą warunki miejscowości leczniczych i stacyj klimatycznych, które obecnie są bardziej na czasie niż w sezonie, bo właśnie jesień i zima powinny służyć do wprowadzenia ulepszeń i porządków. Oto obraz warunków dzisiejszych: Od 15 maja miejscowość kuracyjna zaludnia się tłumem zamożnych i ubogich. Jako tako radzą sobie pierwsi; gorzej w dzielnicach „demokratycznych," najgorzej—w żydowskich. W ciasnych, dusznych izbach mieści się po kilka rodzin—biedacy wyobrażają, że zdrowie tam znajdą. Ze źródeł leczniczych, zamiast wzmocnienia wyniosą zarodki nowej choroby—zabójczej, najczęściej suchot, bo skutkiem zwiększonej siły wykrztuszającej płuc „kuracyusze" wydzielają więcej flegmy, niż zwykle. Wszystko to pada na trawniki, chodniki, podłogi restauracyi, mieszkań, zostaje na serwetkach, kubkach i wymywa się w źródło, z którego właściciele nadto czerpią wodę i rozsyłają na sprzedaż po 30—50 kop. za butelkę.

Tak wyglądają nasze zdrojowiska. Nie lepiej i za granicą, ale tam komfort, urok obczyzny i kosmopolityzmu panuje nad wszystkiem i każe zapominać o wszelkiem niebezpieczeństwie. Otóż należy reformę rozpocząć przedewszystkiem od skrupulatnego wyporządkowania lokalów, na co zwykle jest siedem miesięcy po za sezonem kuracyjnym. Wszystkie pokoje dla chorych powinny być widne, suche, dobrze przewietrzane, ściany wybielone wapnem lub pomalowane olejną farbą, meble drewniane; gładkie spluwaczki z płynem dezinfekcyjnym i t. d. Źródła trzeba zamykać szczelnie płytą żelazną lub marmurową, z rurą wyprowadzającą wodę zewnątrz do kranów. W restauracyach najlepsze byłyby serwetki bibułkowe. Wogóle czystość i dezynfekcya na każdym kroku powinna być najpierwszym warunkiem dla ludności ubogiej; możnaby zastosować namioty letnie z płótna żaglowego lub makat, nadto urządzić szpitale barakowe. Pod względem gospodarki i wygód wszystkie nasze miejscowości lecznicze wymagają zupełnej reformy i uprzystępnienia ogółowi. Dzisiaj są one źródłem wyzysku chorych. Dodajmy do tego brak udogodnień komunikacyjnych, a będziemy mieli główną przyczynę przekładania „badów" zagranicznych, pomimo że nasze źródła pod względem własności leczniczych nie ustępują obcym. Ciechocinek np. wybornie może zastąpić Ischl i Nanheim; Druskienniki i Birsztany—to samo; źródła siarczane Buska i Solca nie ustępują Trenczynowi, Akwizgranowi i Badenowi, a nawet są silniejsze, chociaż wymagają ogrzewania. Sławinek po należytem urządzeniu—to przyszły Schwalbach. Szczepietówka rozwija się i może również zastąpić odpowiednie miejscowości zagraniczne. Nowe-Miasto to Fürstenhoff, Nałęczów rywalizuje z Kaltenleitgeben, rozwija stopniowo hydropatyę i z czasem stanie się pierwszorzędnym zakładem w tym zakresie. Sławuta—to Reichenhall. Mają one wprawdzie klimat nieco ostrzejszy, niż na południu lub zachodzie, ale to nie zniża ich znaczenia; przeciwnie—dla mieszkańców miejscowych, bez względu na osłabione organizmy, klimat własnych stron przy odpowiedniem zachowaniem się jest najwłaściwszym, oczywiście z pewnymi wyjątkami.

Wreszcie południe i wschód Rosyi uzupełniają potrzeby w tej mierze, a taryfa strefowa przy osobnej zniżce sezonowej daje ceny jazdy bajecznie tanie. Na Kaukazie Piatyhorsk może wyręczyć Bagnéres de Louchon; Essentuki—to zebrane w jednej kotlinie: Karlsbad, Selters, Vichy i Soden. Żeleznowodzk zastąpi wybornie Giesshübel lub Fachingen. Po za tem w innych dzielnicach państwa: Stara Russa, Lipeck, Saki, (w Krymie) Limany odeskie, pobrzeże Krymu z Eupatoryą, Jaltą, Alupką i Teodozyą zastąpić *mogłyby* w wielu razach Homburg, Landeck, Ostendę, St. Remo, Nizę, Riwierę, Meran. Powiedzieliśmy: zastąpić *mogłyby*. Wielu im wszakże brak pod względem wygód, a co najważniejsza—nie mają tego uroku Zachodu i nie podobna wymagać, ażeby ludzie ukształceni kulturalnie nie lgnęli tam, gdzie więcej rozmaitości, życia i źródeł nie tylko naprawy zdrowia, ale i zaspokojenia potrzeb duchowych i estetycznych.

Staraliśmy się w tym pobieżnym artykule naszkicować obraz najpilniejszych spraw hygienicznych i nie mamy pretensyi do wyczerpania ich, skoro i dr. Tchórznicki w książce o 259 str. *) nie zdołał przedstawić całokształtu warunków zdrowotnych. Praca jego, chociaż w oderwanych rzutach obejmuje zaledwie kilka szczegółów naszych niedomagań, zasługuje wszakże na jaknajszersze rozpowszechnienie, może ona służyć za wskazówkę w zorganizowaniu reform. Przy pewnej przesadzie zapewne celowej, cechującej wogóle hygienistów, przegląda u dr. T. wiara w możliwość skutecznej naprawy złego. Niestety, życie i fakty codzienne wskazują na każdym kroku olbrzymie trudności, które jeszcze przez długi szereg lat nie pozwolą polepszyć warunków zdrowotnych o tyle, żeby społeczeństwo odczuło to wyraźnie. Można tylko zapobiegać rozrostowi, tymczasem łagodzić lub znieczulać niedomagania, a do raju hygienicznego tworzyć powoli, bardzo mozolnie podstawy dla przyszłych, odległych pokoleń. Stan zdrowia mas wielkich jest ściśle związany z formami ich bytu i rozwoju; niedomaganiem tem przesiąkły cały organizm. Są pewne choroby niszczące wewnątrz jestestwo materyalne, napełniające krew i wszystkie tkanki. Od czasu do czasu objawiają się one wyrzutami naskórnymi, które trzeba usuwać nacięciem lub maścią. Taka rola przypadła naszej hygienie obecnej. Zapomniano o jednym środku: *pedagogii*. Hygiena powinna być katechizmem zdrowia w wychowaniu domowem i szkole. Tą tylko drogą można stworzyć w tłumie zamiłowanie czystości, usposobić go z czasem do chętnego przyjęcia ulepszeń i współdziałania w ich rozwoju.

Zen. Piet.

*) Pewną liczbę egzemplarzy swej książki dr. Tchórznicki wydrukował dla próby hygienicznej na papierze blado niebieskim. Otóż po przeczytaniu dziełka, przychodzę do przekonania, że kolor ten wpływa na wzrok nadzwyczaj dodatnio, nie męczy i jest przyjemnym.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Stanisław Budziński.

Przed kilku dniami zmarł w Warszawie jako b. profesor Szkoły Głównej, a potem uniwersytetu warszawskiego oraz członek Izby sądowej. Po za temi dwiema dziedzinami pracy publicznej działalność nieboszczyka rozwijała się w dwu kierunkach: był on autorem lub tłomaczem dzieł i rozpraw z zakresu prawa, pomiędzy któremi większą wartość posiadają dotyczące kryminalistyki („O zbiegu przestępstw i przestępstwach ciągłych," 1864; „Myśli do ułożenia nowego prawa karnego," 1865; „Wykład porównawczy prawa karnego," 1868; „O powtarzaniu przestępstw," 1875; „O kradzieży i pokrewnych jej przestępstwach," 1876 i inne, umieszczane w pismach peryodycznych); nadto pod pseudonymem Bolesława Wiktora przetłomaczył szereg utworów poetyckich (Kalderona, Oehlenschlägera, Lermontowa i in.). Próbował też sił swoich w wierszowaniu oryginalnem i krytyce literackiej. O ile w pracach naukowych był gruntowym znawcą przedmiotu, o tyle w beletrystyce nie wyszedł po za granice amatorstwa. Rozległa znajomość języków pozwalała mu swobodnie poruszać się w literaturze powszechnej, wielka pamięć — zgromadzić obfity zapas wiadomości, łatwość zręcznego pisania—pokonywać zwycięzko trudy przekładowe, wszystko to jednak służyło mu raczej do zapełnienia chwil wypoczynku i dogodzenia osobistym upodobaniom, niż do zadośćuczynienia głównym potrzebom i celom myśli. W tej sferze pozostał szlachetnym dyletantem. Dla charakterystyki dodać należy, że posiadał szeroką sympatyę, a przytem sławę człowieka towarzysko wytwornego i dowcipnego. Umarł, mając lat 71.

Feliks Berdau.

Mało o nim wiedziano, bo nie śpiewał, nie grał, nie deklamował, nie przewodniczył żadnym obradom, nie napisał żadnej nowelki lub farsy, nie „nosił się z myślami," odgadywanemi przez reporterów, nie zawiadamiał ogółu o swoich przyjazdach lub wyjazdach. Całe życie uczył tylko młodzież, badał przyrodę i rezultaty swej pracy gromadził w książkach naukowych. Urodzony św. w Krakowie r. 1826, skończył gimnazum św. Anny, poczem wstąpił na wydział filozoficzny uniwersytetu Jagiellońskiego. R. 1847 został adjunktem przy katedrze botaniki w tejże wszechnicy i jednocześnie objął kierownictwo naukowe ogrodu botanicznego. R. 1860 powołano go do Warszawy na nauczyciela historyi naturalnej w gimnazym realnem, a gdy r. 1862 otwarto Instytut politechniczno-rolniczo-leśny w Nowej-Aleksandryi. Powierzono mu katedrę botaniki i zoologii tudzież założenie ogrodu botanicznego. Po zwinięciu Instytutu profesor wrócił do Krakowa, gdzie obroniwszy rozprawę p. t. „Karpaty wogóle, a w szczególności o Tatrach pod względem geograficznym, geologicznym i botanicznym," zdobył stopień doktora filozofii. R. 1859 powołano go znowu do Nowej-Aleksandryi dla objęcia katedry botaniki fizyologii we wskrzeszonym Instytucie go-

spodarstwa wiejskiego i leśnictwa. Na tem stanowisku pozostał do r. 1886; następnie skutkiem wyczerpania zdrowia zaniechał działalności profesorskiej i zamieszkał na stałe w Warszawie. Literaturę naukową wzbogacił licznemi pracami, z których ważniejsze są: Botanika ogólna (Warszawa, 1867, wydanie drugie r. 1871), „Flora Tatr, Pienin i Beskidu,“ „Porosty Królestwa Polskiego pod względem morfologicznym i fizyologicznym“ (Warszawa 1876), „Botanika leśna“ (Warszawa, 1890).

Ludwik Teichman.

Prawie jednocześnie śmierć wyrządziła drugą szczerbę w nauce. Dnia 24 listopada w Krakowie zmarł Ludwik Teichman, słynny anatom, profesor Akademii Jagiellońskiej, były wice-prezes Akademii umiejętności. Urodzony r. 1823 w Lublinie, wykształcenie gimnazyalne otrzymał w Radomiu r. 1846, następnie uczęszczał na wydział teologiczny w Jurjewie do r 1849. Studya lekarskie rozpoczął w Heidelbergu r. 1851, poczem otrzymał posadę asystenta przy zakładzie anatomii opisowej w Getyndze. Od tego czasu oddał się całkowicie owej gałęzi wiedzy lekarskiej. Po skończeniu medycyny i otrzymaniu doktoratu r. 1855, powołany był do Monachium na prosektora a później na takie samo stanowisko do Getyngi. R. 1856 obdarzony zapomogą na podróż naukową, zwiedził Niemcy, Austryę, Danię, Szwecyę, Norwegię, Anglię, a po powrocie został prywatnym docentem anatomii i fizyologii w Getyndze r. 1859. Po dwu latach powołano go na profesora anatomii patologicznej do Krakowa, a r. 1868 mianowano zwyczajnym profesorem anatomii opisowej. Wybitnemi zdolnościami i pracą nieboszczyk zwrócił na siebie uwagę świata uczonego. Z różnych stron Europy przyjeżdżano do Krakowa dla obejrzenia gabinetu anatomicznego Teichmana. Tak bogatych zbiorów i preparatów, wykonanych artystycznie, podobno nie posiada żaden uniwersytet. Zajmują one kilka sal teatru anatomicznego, wzniesionego staraniem profesora. Tam właśnie spędził on znaczną część swego życia, oddany studyom mozolnym; to też wiele najciekawszych i najcenniejszych preparatów jest jego dziełem. Wszystkie te zbiory wspaniale złożył w darze wydziałowi lekarskiemu Akademii Jagielońskiej. Prace swoje z dziedziny anatomii ogłaszał po polsku i niemiecku. Rektorem był r. 1878, a 25 lat poświęcił pracy profesorskiej wszechnicy krakowskiej. Ustąpił dopiero w roku ubiegłym i to nie z braku sił, lecz pod naciskiem ustawy, nie pozwalającej profesorom wykładać po ukończeniu 70 lat życia.

PAMIĘTNIK.

Wykręty filantropijne.

Jedną z najciekawszych stronic nowoczesnej cywilizacyi są spisy olbrzymich ofiar, składanych przez bogaczów amerykańskich na ołtarzu dobra społecznego. Gdy się czyta o milionach dolarów, darowywanych hojną ręką na uniwersytety, szpitale, rozmaite zakłady użyteczności publicznej i gdy się te dary zestawi z naszem wyobrażeniem o chciwości i sobkostwie dorobkowiczów nowego świata — trudno zrozumieć, jak z takich bagnistych źródeł tryskać mogą tak czyste zdroje. Widocznie dusze te są czystsze, niż my sądzimy. Amerykę odmalowała nam albo arystokracya, albo jej małpy, które dojrzały tylko rude faworyty, nogi założone na stół, kapelusze na głowach i rewolwery w rękach. Przekonano nas, że ci ludzie złych manier i szorstkich słów nie posiadają żadnych szlachetniejszych uczuć. Tymczasem wzrastająca coraz bardziej i dosięgająca już nadzwyczajnych rozmiarów ofiarność obywateli amerykańskich, której ani zakryć, ani zbagatelizować nie może próżny, płytki i skąpy arystokratyzm europejski, zaczyna zbyt mocno uderzać w oczy i imponować staremu światu, ażeby ten sknera nie doznał wstydu. Miliony dolarów sypią się ciągle w Stanach Zjednoczonych z przeznaczeniem społecznem, a Europa zaledwie może im przeciwstawić tysiące. W niej rzeczywiście zdumiewają tylko sumy... skradzione.

Zapewne, o bezwzględnem porównaniu bogactwa krezusów amerykańskich z naszymi trudno mówić. Ale nawet pod odtrąceniu wszelkich różnic jakże smutnie wyglądałoby porównanie względne! Mamy również milionerów, ale ci wykpiwają się ze swej *noblesse*: składkami zamiast powinszowań noworocznych, kilkudziesięciorublowemi ofiarami na kolonie letnie i wpisy uczniowskie, naddatkami za bilety koncertów dobroczynnych itd. Z wyjątkiem paru, między którymi najdalej wysuwa się — o dziwo! — bankier — p. H. Wawelberg, reszta wykręca się owemi wiązeczkami filantropijnego siana. Właśnie teraz nadchodzi główna pora żebraniny społecznej i kwitowania się z nią drobnymi datkami rodowej i pieniężnej magnateryi, która mogłaby założyć niejeden szpital lub szkołę, a woli dawać po garstce rubli na głodnych lub wpisy studenckie. Kto chce ten fakt stwierdzić dowodami, niech uważa i spisuje sobie wspaniałomyślne dary naszych milionerów podczas zimy. Wymowny tu będzie rachunek.

Ze stajni.

Totalizator stał się piecykiem, który ogrzał nasze namiętności do niebywałej temperatury. Jest to wypadkiem bardzo naturalnym, że gdy on przepala już w sobie podczas jednego roku przeszło milion rubli „gentlemenów“ grających, dla dostarczenia hazardowi pobudek i wzruszeń musi wzrastać odpowiednio zapał „gentlemenów“ hodujących. Jakoż zaczynają powstawać nowe stajnie wyścigowe: jedną zakłada J. Paderewski w nowonabytych dobrach, drugą właściciel Wilanowa itd. Maluczko, a nawet posłańcy publiczni będą mieli — wzorem spółek już istniejących — po $^1/_4$ lub $^1/_{10}$ konia, stawającego jeśli nie do „Derby,“ to przynajmniej do „pocieszenia.“ Ach, jakże to piękny będzie wówczas widok! Kraj, który nie może dotąd się zdobyć na dom dla Towarzystwa sztuk pięknych, na salę koncertową, na instytut gimnastyczny, na porządną łaźnię ludową, na szpital urządzony według nowszych wymagań lekarskich, na sto innych potrzebnych zakładów, pokryje się stajniami wyścigowemi, do których ciekawi zaczną ze wszech stron przyjeżdżać zdychającemi fornalkami. Naturalnie nie ominiemy dobrych przykładów i — jak ks. Aumale w Chantilly lub baron Franchetti w Wenecyi — urządzimy wspaniałe przyjęcia w stajniach. Alboż nie mamy na to pieniędzy, pomysłowości i ochoty? Dostatek przelewa nam się wszystkimi brzegami, wszystkie potrzeby społeczne są zaspokojone, nie pozostaje nam już nic innego, tylko wynajdować nowe postacie zbytku. Ciekawa rzecz (która jednak, niestety, prawdopodobnie nigdy zbadaną nie będzie), co też myśleć sobie będą konie, patrząc na te bale stajenne?

Laboratoryum chemiczne.

Właściciel apteki i przemysłowiec Warszawski, magister farmacyi, p. Karpiński, przeznaczył 2,000 rs. na urządzenie laboratoryum chemicznego przy tutejszem Towarzystwie farmaceutycznem. Celem tej pracowni ma być ułatwienie wszelkich analiz i badań naukowych dla członków stowarzyszenia, tudzież młodzieży kształcącej się. Ofiarodawca, mając zapewne w pamięci liczne fakty, stwierdzające, jak powoli u nas wszelkie instytucye i zakłady powstają, zaopatrzył swój zapis rygorem, że cofnie tę sumę w razie, jeżeli pracownia w ciągu dwu lat nie będzie gotową. Laboratoryum takie przydałoby się nam bardzo, ale nie tylko dla pewnej garstki ludzi w ich celach osobistych. Wartoby je uprzystępnić dla mieszkańców całego miasta w ten sposób, ażeby każdy, kto kupi podejrzany produkt spożywczy, mógł tam pójść i za cenę stosunkowo niewielką przekonać się, o ile jest podrobianym i szkodliwym dla zdrowia. Tą drogą ułatwiłoby się znacznie ściganie fałszerstwa, na które dotąd niema stanowczych środków. Wogóle u nas badania laboratoryjne mają jeszcze charakter robót zupełnie zamkniętych przed okiem tłumu i służą tylko do celów specyalnych, podczas gdy w większych miastach zagranicznych stały się one instytucyami publicznemi. Prawda, że wiele kategoryi analiz wymaga znacznych kosztów, niepodobna więc przy szczupłych środkach pracowni wymagać od nich usług tanich. Mamy przy tem i fachowców w tym zakresie zbyt jeszcze mało, co również podnosi koszt. W Halli np. laboratoryum Mercker'a jest zarazem pewnego rodzaju szkołą, do której przyjeżdżają na naukę praktyczną nawet wytrawni, poważni profesorowie i łożą koszty. Tem właśnie można wytłomaczyć fakt z podania przez Mercker'a oferty znacznie przystępniejszej niż mogła dać tutejsza pracownia przy Muzeum przemysłu i rolnictwa, gdy chodziło o gruntowne zbadanie nawozów i gleby z różnych stron naszego kraju.

Wykształcenie handlowe

Kuryer. Warsz. niedawno zaznaczył znamienny fakt z dziedziny ekonomicznej: brak buchhalterów u nas. Ukończenie kursu tego przedmiotu w szkole realnej lub Kronenberga, może przysposobić tylko kandydatów do zawodu handlowego, którzy dostawszy się do jakiegoś kantoru, sklepu, fabryki czują dopiero całą trudność przystosowania teoryi do praktyki. Dopiero po kilku latach pracy fachowiec taki może zostać korespondentem lub buchhalterem w całem znaczeniu. Ten na pozór jednolity zawód ma swoje specyalności, wytworzone przez rozwój przemysłowo-handlowy, którego cechą jest wzrost liczebny różnych działów. Tak np. są buchhalterzy fabryczni, bankierscy i t. d. I gdyby np. pierwsi zechcieli zastąpić drugich, pomimo doświadczenia, znaleźliby się na razie w niemałym kłopocie. Obecnie daje się najbardziej odczuwać brak buchhalterów fabrycznych, obeznanych dokładnie z różnemi gałęziami przemysłu, a także—korespondujących w trzech językach (niemieckim koniecznie). Pracownikom takim fabrykanci proponują zwykle 1,200—1,500 rs. rocznej pensyi, mieszkanie, opał i światło. Na tak korzystne warunki mamy bardzo wielu łakomych, ale niezmiernie mało uzdolnionych odpowiednio. Jest to fakt nie po raz pierwszy w naszem życiu notowany; to też ogromnie jest pożądana reforma wykształcenia handlowego w taki sposób, ażeby mogła zadość uczynić potrzebom istotnym. Sfery właściwe zwróciły już na to uwagę i przedsięwzięły prace przygotowawcze; ale z pogłosek, często kroć sprzecznych, obiegających od roku prasę, niewiele można wywnioskować. Z mnóstwa doniesień zasługuje atoli na uwagę następujące, podane przez *Petersb. Wied*: Według projektu ministeryum skarbu, postanowiono między innemi stworzyć

kursy handlowe dla mężczyzn i kobiet. Celem ich jest dostarczenie wiadomości w zakresie jednej lub wielu gałęzi, przyczem program kursu nie podlega żadnemu unormowaniu, ponieważ mają być przeznaczone dla ludzi stojących na różnych poziomach wykształcenia. Zatem organizatorowie takich kursów mają zupełną swobodę wybierania przedmiotów i zakresu wykładów, a jednocześnie mogą dowoli oznaczać ich trwanie. Tworzeniem wykładów dla płci niewieściej mają prawo zajmować się także kobiety, a nadto— uczyć, o ile złożą świadectwo z ukończenia gimnazyum żeńskiego i egzamin osobny z przedmiotów handlowych. Kursy będą otwierane z funduszów miejskich, stowarzyszeń kupieckich, prywatnych i t. d. Wreszcie i skarb przyjdzie z pomocą. Szczegóły te pozostawiamy bez odpowiedniego oświetlenia, bo jeszcze mogą uledz zmianom i uzupełnieniom.

Będziemy mniej tańczyć.

Gdyby ogłoszono międzynarodowy turniej taneczny, to niewątpliwie pierwszą nagrodę przyznanoby nam. Należymy bowiem pod tym względem do najbardziej dziarskich i najwytrwalszych ludzi. Krzyknijmy nad uchem leżącego w łóżku, stańczonego młodzieńca: Dach się pali! — nie drgnie. Ale zawołajmy: Czas na bal! — zerwie się na równe nogi, chociażby pięć nocy przedtem tańczył. My zawsze możemy tańczyć: smutni czy weseli, chorzy czy zdrowi, w dzień, w nocy, na wiosnę, latem, jesienią, w zimie. Gdy obrządki kościelne zabraniają tańczyć w post wielki, wyszukujemy św. Józefa, niby termin przyjęty zwyczajowo. Gdy zabraknie obiadów, podwieczorków, herbat, kolacyj, imienin, urodzin, chrzcin „tańczących," tworzymy „komplety domowe" dla nauki tańca, poszukujemy do nich dobrze wychowanych chłopców i panien. Nie tak pilnie i wytrwale nie studyujemy, jak *pas* walcowe lub mazurowe, czy to w domu, czy u mistrzów tej sztuki. Gdy rozproszone przez lato ptactwo podrygujące zleci na jesienne i zimowe leże do Warszawy z wakacyjnych siedzib, działy ogłoszeń w pismach przepełnione są obwieszczeniami o lekcyach tańca i „kompletach domowych." Wówczas zapał ogarnia nietylko podrastające, nieopierzone dzierlatki, ale i kwoki; nietylko młode dudki, ale i stare koguty. Tańczą malcy, tańczą siwi, łysi, ślepi, garbaci, podagrycy, reumatycy w chwilach wolnych od ataków. To też i mistrze sztuki wyrzucania i wywijania nogami mnożą się z dniem każdym, podtrzymują i rozbudzają ten zapał. Ale oto przyjdzie wkrótce okres, w którym zmniejszą się szeregi tych „pedagogów," bo podobno od nowych nauczycieli tańca będą wymagane świadectwa gimnazyalne. Ponieważ ci, którzy mają jakie takie wykształcenie szkolne, w większości szukają sobie zawodów choć trochę poruszających kapitał czy kapitalik tej nauki, złożony przez kilka lat w głowie, więc nogi, jako niemające w danym razie nic wspólnego z organem myślenia, nie będą pracować fachowo i zaświadczać swych uzdolnień patentem. Dzięki temu liczba nauczycieli tanecznych zmniejszy się, dawni — z wiekiem ograniczą swą działalność, zapał ogólny ostygnie przynajmniej do kształcenia dolnych kończyn i — będziemy mniej tańczyć. —z.—

Syndykaty rolnicze.

Rolnictwo dziś już przestało być gospodarką samą w sobie, wyłącznie zagrodową lub folwarczną, prawie oddzieloną od świata. Ogniska spraw ziemiańskich (wszelkie towarzystwa), rozwój i zmiana warunków ekonomicznych zacierają coraz bardziej typ dawnego „breczkosieja," właściciel ziemski, jeżeli nie chce pozostać daleko w tyle, musi badać tętno ruchu ogólnego, stać się chociaż drobnem ogniwem w łańcuchu tak zwanych „konjunktur." To też dla ogółu ludzi owej sfery, a pośrednio i dla całego społeczeństwa, nie powinny być obojętne fakty zrzeszeń ekonomicznych nietylko u nas, lecz i dalej, gdyż różnemi drogami wpływają one na powszechne stosunki wytwórczości i handlu, przytem mogą zawierać pewne szczegóły, jako wzory lub wskazówki do naśladowania, a działalność takich związków daje próbę, sumę doświadczenia, pożyteczną również dla tych, którzy zechcą w przyszłości iść podobną drogą. W Kownie, Libawie, Kijowie istnieją z powodzeniem syndykaty rolne, a niedawno na takich samych zasadach powstał nowy — w Witebsku. Celem jego jest przedewszystkiem pomoc wzajemna, ułatwienie zbytu zboża, kupna narzędzi i nasion, podniesienie przemysłu domowego, pośrednictwo w sprawach dotyczących rolnictwa. Cała działalność zamyka się w obrębie gubernii. Członkami mogą być wyłącznie rolnicy lub przemysłowcy (chrześcianie), wreszcie stowarzyszenia rolne. Kapitał zakładowy wynosi 100,000 rs. w akcyach imiennych sturublowych. Przy nabywaniu ich należy złożyć 10% gotówką; resztę można uiszczać w terminach, wskazanych przez zgromadzenie ogólne. Pomijając stronę gospodarczą, przepisy o dyrektorach, ich prawach i pensyach, uważamy za stosowne zaznaczyć tylko program działalności syndykatu: Wytwarzanie i przerabianie wszelkich produktów, wchodzących w zakres rolnictwa i leśnictwa, tudzież rozpowszechnianie machin i narzędzi rolniczych. Otwieranie sklepów, warsztatów, zakładów przemysłowych, elewatorów, agentur. Kupno i sprzedaż ruchomości i nieruchomości oraz pośrednictwo w takich tranzakcyach. Wydawanie pożyczek na zastaw produktów rolnych i przemysłu domowego. Przedsiębranie robót, dostaw oraz korzystanie z kredytu w instytucyach finansowych. Drukowanie ogłoszeń i wydawanie pisma, poświęconego głównie sprawom rolnictwa, przemysłu i handlu. Jak widzimy, program dość rozległy, a do liczby członków przypuszczono także i przemysłowców, tj. ludzi silnych materyalnie, stojących po za sferą rolniczą. Ów żywioł, z natury obrotny i dzielniejszy praktycznie niż ziemiański, może wzmocnić interesy rolników. Kładziemy nacisk na ten fakt, jako znamienny zwrot w stosunkach ekonomicznych.

Przytułek rzemieślniczy.

Od lat paru kapryśna i wybredna matka Filantropia nosi go w swem łonie. Kiedy magistrat dawał bezpłatnie plac na Pradze, odpowiedziała: Ja tam nie chcę; wolę przy ogrodzie pomologicznym! Ofiarę cofnięto, a innego gruntu dotycczas niema. Upatrzono plac przy ulicy Czerniakowskiej (17,000 łokci kw.) i miano go kupić za 22,000 rs., ale tu znowu znalazła się przeszkoda: woda zaskórna. Na Pradze było źle i daleko, ale zdaje się, że dziś już byłoby blizko i dobrze, skoro obecnie poszukiwania skierowano aż za rogatki wolskie. Naszem zdaniem, należałoby jeszcze pójść dalej i poszukać odpowiedniej miejscowości po za obrębem drogich i niezdrowych gruntów podmiejskich. Schronienia wymagają ludzie wyczerpani przez długoletnią pracę, dotknięci kalectwem, słabi, chorowici. Dla takich niepotrzebny ani gwar miejski, ani bliższe dzielnice; przeciwnie, należałoby im wybrać ustronie zdrowe, suche, śród lasów sosnowych, gdzie są tanie wszelkie środki, gdzie pensyonarze mogą mieć trochę przestrzeni i powietrza. U nas wręcz odmienna panuje zasada. Różne schronienia urządzono w dzielnicach ciasnych, gwarnych, cuchnących. Wyobraźmy sobie, ile na tem cierpią zniedołężniali, niedość, że skazani na siedzenie w szczupłych izbach, lecz także na oddychanie powietrzem ciężkiem, niezdrowem, wpuszczanem homeopatycznie z ulicy przez lufciki. Fundusze przytułku rzemieślniczego składają się z sumy 24,000 rs., umieszczonej w papierach procentowych, tudzież z kwot 6,000 i 3,000 rs., udzielonych przez dwu obywateli tutejszych. Prócz tego ktoś ukryty, zgodnie z przykazaniem pisma świętego, ofiarował 10,000 rs. Tym sposobem kapitał ogólny wynosi już 43,000 rs. Zdaje się, że środków tych wystarczyłoby na wzniesienie skromnego gmachu, a grunt niewątpliwie ofiarowałby jaki właściciel ziemski, gdyby po upatrzeniu odpowiedniej miejscowości, zakołatano do niego. —*p*.—

W DALI.

Radom. Zarząd kolei Dąbrowskiej zamierza otworzyć na rok jeden, tytułem próby, dwa szpitaliki przy ambulatoryach: w Radomiu dla kobiet i w Kielcach dla cierpiących na oczy. Drogę podzielono na sześć rewirów lekarskich, zamiast dotychczasowych czterech: 1) Iwangród Radom i warsztaty mechaniczne: dr. Włodzimierz Przyłęcki; 2) Radom-Jastrząb i zarząd kolei w Radomiu: dr. Ludwik Żerański; 3) Jastrząb-Zagnańsk i Bzin-Ostrowiec: dr. Czesław Świerczyński; 4) Zagnańsk-Miechów: dr. Jan Daszewski; 5) Miechów Strzemieszyce z odnogami do Granicy, Sosnowca i Dąbrowy: dr. Stanisław Petral i 6) Bzin Koluszki: dr. Albin Nebelski. Prócz tego wzywani bywają trzej lekarze specjaliści z Radomia: chirurg dr. Franciszek Kosicki, okulista dr. Jan Płachecki i do chorób kobiecych dr. Stanisław Idzikowski. — Kasa przemysłowców radomskich liczy obecnie 2,827 uczestników, których wkłady do 1 lipca r. b. wynosiły rs. 115,932 kop. 40. Obrót gotowizny w ciągu półrocza dosięgnął rs. 1.121,816 kop. 93., t. j. większy od obrotu pierwszego półrocza 1894 o 114, 239 rs. kop. 28. Ruch pożyczkowy w tym okresie był znaczny, wniesiono podań 1623, z których przyznano 1,153 na ogólną sumę rs. 401,350. Największa pożyczka wynosiła rs. 5,500, najmniejsza—6. Dochód z procentów od pożyczek w stosunku 6% dał rs. 22,843 i ½% „prowizyi," pobieranej na zarząd rs 4,195 k. 50., razem rs. 27,038 kop. 80.— Towarzystwo dramatyczne pod dyrekcyą p. R. Mareckiego cieszy się powodzeniem —Na urządzenie szkoły mechanicznej w Radomiu obywatele miejscowi uchwalili wydać z kasy miejskiej rs. 750, a następnie przeznaczać co rok na utrzymanie po rs. 750. Projektowanie jest również założenie szkół rysunkowych przy fabrykach. — Rząd gubernialny w zasadzie zgadza się na budowę tramwaju i podaje warunki następujące: aby przedsiębiorcy złożyli tytułem kaucyi rs. 5,000; aby w ciągu pierwszych lat dziesięciu ponosili ¼ wydatków na roboty brukarskie na ulicach, przez które przechodzić będą tramwaje i wreszcie, aby opłacali pobór rogatkowego od wagonów towarowych. Przedsiębiorcy, pp. Józef Helbich, Henryk Hass i Jan Rodys, podobno zgadzają się na te warunki. Na wystawę do Niższego Nowogrodu kolej Dąbrowska pośle porównawcze tablice graficzne ruchu towarowego z r. 1885 (pierwszego) i 1894. Kapitaliści miejscowi zamierzają założyć lombard akcyjny w Radomiu.—Mieszkańcy uskarżają się na brak odpowiednich łazienek i kąpieli.

Łódź. Projekt kolei wązkotorowej z Kalisza przez Sieradz do Łodzi bardzo zainteresował mieszkańców tych okolic i wywołał propozycye różnych kierunków. Linia Kalisz—Kutno przechodziłaby oprócz wielu małych miasteczek, przez dwa ważne punkty przemysłowe: Turek i Koło, przy tem służyłaby za ujście dla wytwórczości kilku cukrowni i zamożnych gospodarstw ziemskich pow. konińskiego, dla ożywionej okolicy Kłodawy, Krośniewic i t. d. *Grażdanin* pisze: Ministeryum skarbu zatwierdziło projekt utworzenia w Łodzi komitetu handlu i rękodzieł. Pod władzą jego będzie cała gubernia piotrkowska. Do obowiązków wchodzą: roztrząsanie wszelkich kwestyj, dotyczących handlu miejscowego i prze-

mysłu, a zwłaszcza warunków otwierania nowych instytucyj handlowo-przemysłowych; sporządzanie projektów i podań, przeznaczonych dla ministeryum skarbu; składanie rocznych sprawozdań o stanie i przebiegu miejscowych spraw handlowo-przemysłowych. — Mieszkańcy Łodzi uskarżają się na brak dostatecznej pomocy lekarskiej. Całe miasto, liczące około 900,000 mieszkańców, obsługuje zaledwie 100 lekarzy i 44 starszych felczerów uzdolnionych, 11 młodszych wolno praktykujących.

Kijów. Zatwierdzono ustawę Towarzystwa budowy domów w Kijowie z kapitałem 1,800,000 rs. w 3,600 akcyach.—Z dniem 13 stycznia r. p. będzie wykupiona przez rząd kolej Chwastowska. Jest to ważna arterya komunikacyjna, łącząca pośrednio wielkie obszary kraju z miastem portowem, Mikołajowem.—Znaczne zakupy zboża dla skarbu czynione są w Odesie. Od sierpnia do połowy listopada nabyto na rynku tamtejszym 750,000 pudów żyta, z których 450,000 jest na przechowaniu w elewatorze.—Zatwierdzono ustawę Towarzystwa literacko-artystycznego w Kijowie.

Saratów. Dnia 10-go listopada w sali Towarzystwa miłośników sztuk pięknych odbyło się przedstawienie amatorskie na rzecz Towarzystwa dobroczynności przy miejscowym kościele katolickim. Odegrano trzy jednoaktówki: hr. Fredry „Posażna jedynaczka," Stanisława Dobrzańskiego „Tajemnicę," wreszcie „Spudłowali." Z grona amatorów wyróżnili się: panie Roszkowska, Szostkowska, Hofman, Ruszkowska, Rosicka, Łaska, oraz pp.: Żurkowski, Jankowski, Pietraszewski, Kraczkiewicz, Smoliński, Roszkowski, Żórawski, Łącki. Sala była szczelnie zapełniona. Urządzeniem przedstawienia zajmowała się pani Maszkowska. Dochód z widowiska wynosił około 250 rs.

Petersburg. *Grażdanin* pisze: „Zwierzchność szkolna niektórych prowincyonalnych zakładów naukowych średnich zabroniła uczniom uczęszczania do teatru na sztukę dr. Leona Tołstoja p. t. „Władza ciemnoty." — To samo pismo donosi, iż w r. b. po raz pierwszy w budżecie ministeryum rolnictwa zapisano 50,000 rs. na walkę ze szkodnikami zwierzęcymi w lasach i majątkach rządowych. Przeciwdziałanie to nie pozostanie bez wpływu dodatniego za znaczne obszary rolnicze.—Z polecenia ministeryum skarbu wypracowano nadzwyczaj dokładną mapę Chin z oznaczeniem granic wszelkich linij telegraficznych i kolejowych, komunikacyjnych, istniejących tudzież i karawanowych, punktów handlowych i miejsc przebywania lub działalności konsulów.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Towarzystwo oczyszczania i sprzedaży spirytusu. Doroczne sprawozdanie wykazuje, iż przedsiębiorstwo to po 9-ciu latach istnienia, doszło do stanu pomyślnego. Kapitał akcyjny, rs. 300,000 w 400 akcyach po rs. 750 nie tylko całkiem pokryto, ale nadto majątek Towarzystwa powiększono o rs. 72,266 w kapitale zasobowym, amortyzacyjnym i w zyskach. Projektowany na r. p. etat przewiduje 94,000 rs. w dochodzie i 65,780 rs. w rozchodzie, czyli przewyżkę 21,220 rs. W przewidywanych dochodach podano zysk ze sprzedaży 8,000 beczek na 20,000 rs., ze sprzedaży wódki słodkiej 70,000 rs. i araku na 3,000 rs. W planie działań na rok 1895—96 zaznaczono: ponieważ wywóz okowity napotyka coraz większe trudności w ścisłem obliczeniu ceny sprzedażnej, co zarówno dla zarządu, jak i wytwórców jest niedogodnem, zarząd uważa za niezbędne zmienić dotychczasowy sposób: z nabywcy staje się on komisantem wytwórców, tj. że o ile dotychczas wszelkie umowy uskuteczniał na własne ryzyko, obecnie przyjmuje towar w komis, nie przestając jednak, jak dotąd, udzielać producentom odpowiednich zaliczek. System ten wprowadził on już dziś w życie. W roku ubiegłym o tym samym czasie zakupił 100 beczek na własność, a 50 w komis. W r. b. przeciwnie: nabył 50 na własność, a przyjął 100 w komis. Wreszcie zarząd zapewnia, iż zgodnie z położeniem obecnem, dąży nieustannie do zmniejszenia kosztów prowizyi i komisowego, mając zawsze na widoku jako główne punkty zbytu—Hamburg i Petersburg, tudzież południowe gubernie państwa, przyczem jednak nie usunie ze swych planów: Kopenhagi i Londynu. Co do rektyfikatu, jakkolwiek przeróbka jego ciągle się zwiększa, a zyski z tego źródła rosną, pamiętać jednak należy, iż wobec zapowiedzianego wprowadzenia od d. 1-go lipca 1898-go r. monopolu, jest to stan przejściowy; dlatego całkowicie polegać na nim nie można.

— Według sprawozdania prof. Grimma, delegata na zjeździe we Wrocławiu, zakłady rybołówcze austryackie i niemieckie wpuszczają do Wisły około 900,000 zarybku łososia, otrzymywanego przez sztuczne wylęganie. Ta jednak ilość okazała się za małą i niezbędne są usiłowania wszystkich trzech państw. Niemcy przyobiecały przeznaczyć 3,000 marek, Austrya 1,500 marek, oraz dostarczać przynajmniej 40,000 zarybku, Rosya zaś ma złożyć rs 600, z których połowę już wniesiono. Następny kongres odbędzie się r. p. w jednem z miast pruskich, a w r. 1897 w Warszawie.

— W Krakowie znacznie podrożało obuwie. Szewcy skarżą się, iż skóry zagraniczne są drogie, tymczasem kilka garbarni krajowych nie może się rozwinąć i wyprzeć towaru zagranicznego. W postaci surowej wychodzi on masami z Galicyi, następnie wraca jako wyprawiony i bywa sprzedawany po cenach bajecznie wysokich.

— Dochody skarbu z przesyłki czasopism obliczono za r. p. w sumie rs. 1,400,000.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Fundusz Towarzystwa dziennikarzy polskich we Lwowie wynosi już 10,000 zlr.

— Od stycznia wejdzie w życie nowa ustawa kas oszczędności, według której ułatwione będzie przelewanie pieniędzy do innych miast, nadto wolno będzie podnosić sumy ze wszystkich kas, bez względu, gdzie je złożono.

— Wydawca berliński, Janke, przygotowuje do druku obszerne dzieło ilustrowane, dotyczące życia i zasług naukowych Kopernika. Między innemi będzie tam podobizna pomnika w Warszawie.

Szkoły. Na potrzeby budowlane Instytutu w Nowej Aleksandryi postanowiono wyznaczyć 200,000 rs.

— Na starania, podjęte przez niektóre miasta o otworzenie wyższych kursów żeńskich, odpowiedziano odmownie.

— Do egzaminów na pomocników aptekarskich w uniwersytecie warszawskim przystąpiło 31 kandydatów, z tej liczby zdało 26, a między nimi 5 kobiet.

— Uniwersytet w Zagrzebiu dopuścił na wydział filozoficzny cztery kobiety w charakterze wolnych słuchaczek.

Zdrowie publiczne. Rada miejska dobroczynności w Warszawie żąda powiększenia liczby ordynatorów szpitala św. Ducha do czterech (obecnie jest trzech).

— Na jednem z posiedzeń organizatorów wystawy hygienicznej, pod przewodnictwem dr. Lasockiego, postanowiono opracować zasady badania wzroku i słuchu służby kolejowej, tudzież wykazać wady tych organów, uniemożliwiających pracę na drogach żelaznych.

— Od 27 października do 9 listopada zachorowało w gub. wołyńskiej na cholerę 807 osób, zmarło 336; w gub. kijowskiej zachorowało 118, zmarło 52.

Koleje i komunikacye. W biurze zarządu drogi Wiedeńskiej obradował zjazd przedstawicieli kolei Petersburskiej, Terespolskiej, Nadwiślańskiej, Dąbrowskiej, Wiedeńskiej i sąsiednich pruskich, tudzież austryackich. Narady miały na celu zmiany w letnim rozkładzie jazdy.

— Naczelnikiem budującej się kolei Psków-Bologoje został inżenier Święcicki, z pensyą 18,000 rs.

Odczyty. W zimie odbędą się, jak zwykle, odczyty popularne, przeznaczone na wydawnictwa broszurek dla ludu. Udział wezmą: pp. Zofia Joteyko, Wład. Umiński, dr. Odo Bujwid, Klemens Szaniawski (Junosza), Ksawery Sporzyński, Edmund Jankowski, Maksymilian Heilpern, Władysław Reymont, Feliks Rycerski, dr. Maksymilian Flaum, Adolf Dygasiński i dr Witold Szumlański.

Sądy. Dnia 22-go listopada Izba sądowa warszawska rozpoznawała przy drzwiach zamkniętych sprawę b. naczelnika powiatu pułtuskiego, radcy stanu, Aleksandra Mussa-Dułguczowa, obwinionego o przestępstwo, przewidziane w art. 395-ym kod. karnego. Oskarżenie popierał prokurator Izby sądowej p. E. Turau, w imieniu zaś podsądnego przemawiał adw. przys. J. M. Kamiński. Wyrokiem ogłoszonym publicznie, Izba sądowa postanowiła: ukarać winnego po pozbawieniu wszystkich szczególnych praw i przywilejów, na zesłanie do gubernii tobolskiej ze skutkami, przewidzianymi w art. 43-im kodeksu kar.

— Sprawa o zabójstwo Wallnera odbyła się przy drzwiach zamkniętych. Sąd skazał rezerwistów Daniela Łukaszenkę (z ziemi wojska dońskiego) i Teodora Puzina (z gub. orłowskiej) na pozbawienie wszystkich praw stanu i ciężkie roboty: pierwszego na lat 11, a drugiego na lat 10, po upływie zaś zakreślonego terminu ciężkich robót na osiedlenie dożywotnie w Syberyi.

Wystawy i zjazdy. W lutym i marcu r. p. podczas wystawy fotograficznej w Moskwie odbędzie się powszechny zjazd fotografów z całego państwa. Komitet wzywa już obecnie osoby, życzące sobie opracować referaty, o nadesłanie odpowiednich deklaracyj. Niezależnie od tego podaje kilka tematów, które najbardziej pożądane są do poruszenia: o zabezpieczeniu prawa własności artystycznej w produkcyi fotograficznej i fotomechanicznej; o konieczności urządzenia w Rosyi szkół dla fotografów; o wprowadzeniu kursu fotografowania do liczby przedmiotów, wykładanych w niektórych szkołach profesyonalnych i technicznych; o znaczeniu fotografii dla celów naukowych itd. Oprócz tego, na zjeździe ma być poruszona ważna sprawa zabezpieczenia bytu pracowników na polu fotografii w razie utracenia możności pracy, starości lub innych wypadków.

— R. 1897 odbędzie się w Petersburgu międzynarodowy kongres geologiczny.

— W Przeworsku (Galicya) odbyła się wystawa wyrobów tkackich i sukienniczych.

— Pierwsza galicyjska wystawa drobiu, ptactwa i królików, odbędzie się w Jarosławiu na wiosnę r. p.

Śniegi. Według doniesień telegraficznych z d. 27 listopada, w całych Włoszech spadły wielkie śniegi, w niektórych okolicach na półtora metra. W Turynie, Kuneo, Medyolanie, Genui popsute tramwaje, telegrafy, telefony, oświetlenie.

Zmarli. Władysław Kulczycki, w Rzymie. Był on korespondentem paru dzienników warszawskich i źródłem z początku wązziutkiego, a obecnie szerszego strumienia sympatyi dla władzy świeckiej papieża w naszej prasie. Wdzięczność względem Watykanu za tytuł szambelański i hrabiowski wyrażał w ciągłych atakach na zjednoczone Włochy i w czarnem malowaniu skutków zawładnięcia przez nich Rzymem. Przed dwudziestu laty często kroć wyśmiewany za tę obronę upadłych pretensyj, w ostatnich latach nie odbijał się swemi korespondencyami tak jaskrawo od przeważnej barwy dziennikarstwa warszawskiego.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu W. F. w Białymstoku. Jak inne podobne przysłówki: *wogóle, wreszcie, wskróś* itp. trzeba i *wpośród* pisać razem, chociaż tu *w* jest całkiem zbyteczne.

W. O. Tyle wiemy, ile jest w pracy Marholmowej, a drogą poszukiwań księgarskich nie mogliśmy zdobyć żadnego objaśnienia. Podobno dziennik Maryi B. miał wyjść w przekładzie rosyjskim. Co do przytoczonego wyrażenia, zawiera ono tę myśl, że najwyższym ideałem dobroci jest Chrystus.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 17 Ноября 1895 г.   Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.